

EDMUND JEZIEŃSKI



MARIA KRÓCER

LUDZIE
ELEKTRYCZNI

KSIĄŻKI BIEKIJNE
WARSZAWA



Okladka i ilustracje Marji Krugerówny

EDMUND JEZIEŃSKI

LUDZIE ELEKTRYCZNI

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA

TOM I



KSIĄŻKI RÓŻOWE
I BŁĘKITNE

BIBLIOTEKA KSIĄŻEK BŁĘKITNYCH № 110.

Skład główny: Warszawa, „Dom Książki Polskiej.”

EDMUND JEZIEŃSKI

LUDZIE ELEKTRYCZNI

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA

TOM II



Książki RÓŻOWE
I BŁĘKITNE

BIBLIOTEKA KSIĄŻEK BŁĘKITNYCH № 111

Skład główny: Warszawa, „Dom Książki Polskiej.”



I.

TOWARZYSTWO KOLONIZACJI SAHARY.

Paryż został zelektryzowany.

Paryż, którego chyba nic już w świecie zadziwić nie może, rozentuzjzmowany został artykułem, zamieszczonym na naczelnym miejscu w dzienniku „Matin”, i zwracającym uwagę olbrzymim tytułem: „Kolonizacja Sahary”.

A potem dopiero szło, co następuje: „Francji przybywa potężny szmat ziemi. Sahara, ta piaszczysta, bezpłodna Sahara zamienić się ma w krainę zdolną do uprawy, rodzącą zboża, wino, pokrytą zielenią. Wykwitną na niej ludne kolonje, miasta, powstaną fabryki i zakłady przemysłowe, które zajmą się eksploatacją bogactw mineralnych, spoczywających w łonie ziemi, pod piaszczystą powierzchnią.

Miljony ludzi, cierpiących biedę i głód. znajdą zarobek, znajdą chleb, a nawet dostatek. W ten sposób choć w części rozwiązana zostanie tak paląca w obecnej dobie kwestja socjalna.

A zarazem przyczyni się to do zaokrąglenia politycznej całości władń Francji w Afryce. Po zdobyciu Algeru, po zajęciu Marokka i Tunetanji, Sahara urodzajna, rozkolonizowana Sahara stanowić będzie potężny i najlepszy łącznik Europy z kolonjami naszymi w Kongo i Kamerunie. Bogactwa tamtejsze dzięki temu będą mogły być starannie i obficie eksploatowane, przyczem i wpływ nasz rozszerzy się na znacznie większe przestrzenie.

Biała plama na środku mapy Afryki zniknie, nie będzie tam krain, nieznanym podróżnikom, takich, do których nie dotarła noga Europejczyka. Afryka obecnie nie ma już tajemnic...

A sprawcą całego tego przewrotu jest stojący na czele Towarzystwa Akcyjnego Kolonizacji Sahary — inżynier Kazimierz Halicz, znany chlubnie

z prac swoich i wynalazków na polu elektryczności, wielokrotny zdobywca nagród na przeróżnych konkursach naukowych, a ostatnio odznaczony wielką nagrodę Nobla za pracę z dziedziny fizyki oraz orderem legji honorowej.

Finansowaniem całej sprawy zajmuje się jeden z milionerów Maurycy Leblanc.

Sam on zabiera dla siebie połowę akcji, podczas gdy drugą połowę nabywać można w biurach nowopowstającego Towarzystwa przy ulicy Chassee d'Antin oraz w pierwszorzędnym bankach. Kapitał zakładowy powstającego towarzystwa wynosić ma miliard franków. Jak się dowiadujemy, akcji wolnych pozostało niewiele

Jednocześnie prawie na wszystkich miejscach widocznych Paryża ukazały się olbrzymie plakaty, obwieszczające o powstaniu nowego Towarzystwa oraz o rozpoczęciu sprzedaży akcji zarówno w biurach, jak i w Bankach.

Entuzjazm paryżan po przeczytaniu tych obwieszczeń oraz mnogich artykułów na ten sam temat, rozrzuconych po wszystkich prawie pismach Francji, osiągnął szczytu.

Najlepszym wyrazem tego zainteresowania było obleżenie wszystkich domów bankierskich w Paryżu i na prowincji przez żądnych zapisania się na nowe akcje, mające przynosić olbrzymie zyski.

W przeciągu jednego dnia cała wysokość kapitału zakładowego pokrytą została zapisami, przyczem cena akcji podniosła się prawie w dwójnasób.

Największy jednak ruch panował przy ulicy Chaussee d'Antin, przy biurach nowo powstającego Towarzystwa.

Tłumy ludzi zebrały się tam tak wielkie, że z trudem pięćdziesięciu policjantów rade sobie z nimi dać mogło.

Każdy pragnął dostać się do biura, każdy chciał sprawdzić wiarygodność krążących wersji, no i zobaczyć kierownika instytucji, która dla Francji nową miała stworzyć erę, dać jej nowe ziemie i bogactwa.

— Bo skolonizowanie Sahary to nie bagatela, — dowodził w tłumie, żywo gestykulując, jakiś już siwiejący jegomość, — panie, to szmat ziemi... to dużo większe, niż Francja. A przytem droga otwarta... Z Algeru... z Marokka... do naszych posiadłości w Kongo... Oho, — tu jegomość znacząco potrząsnął głową, — stajemy się przez to w Afryce pierwszorzędnym mocarstwem... Ten inżynier Halicz to musi być tęga głowa...

I zrywając z głowy kapelusz, zawołał gromko:

— Vive Monsieur l'ingenieur Halicz!

A za nim tłum, porwany i rozentuzjasmowany, powtórzył okrzyk...

Jednocześnie prawie ktoś rzucił słówko, że inżynier Halicz jest Polakiem i w tejże chwili rozbrzmiał drugi okrzyk, niemniej głośny, niemniej pełen entuzjazmu i zapału:

— Vive la Pologne!... Vive les Polonais!...

A tymczasem w biurach Towarzystwa wrzała gorączkowa praca. Gromada urzędników, pochylonych nad biurkami, wpisywała coś cło olbrzymich ksiąg, obliczała, załatwiała korespondencję.

W innym znów pokoju, pochyleni nad rajsbretami rysownicy wykończyli plany jakieś, konstrukcje dziwnych maszyn i przyrządów, o tajemniczym jakimś przeznaczeniu.

W ostatnim wreszcie pokoju, zastawionym modelami przeróżnych maszyn, z stojącym pod ścianą stołem, zarzuconym rysunkami i planami, przy biurku również obficie zastanym papierami, siedział mężczyzna lat średnich, o ściągłej twarzy i rozumnych oczach, zatopiony w odczytywaniu leżącej przed nim korespondencji.

A tak był pochłonięty tem, że nawet nie spostrzegł, jak drzwi od przyległego pokoju otworzyły się, i stanął w nich mężczyzna młody jeszcze, o twarzy zupełnie ogolonej, ubrany wytwornie, według ostatniej mody.

— No, monsieur Halicz, — zawołał przybyły, rzucając kapelusz i laskę na stół i wyciągając na przywitanie rękę do inżyniera, — dokonałeś pan przewrotu w Paryżu... Takie sceny, jakie się dzieją obecnie, widzieć można chyba tylko w dzień święta Republiki lub też w dniu obioru prezydenta.

— Bardzo mnie to cieszy, panie Leblanc,— odrzekł inżynier Halicz, podając nowoprzybytemu rękę, — cieszy mnie ze względu na to, że w razie powodzenia i potrzeby dalszego rozwijania mego pomysłu śmiało odwołać się mogę do Francuzów...

— O, co do tego, może pan być spokojny... Na przedsiębiorstwa, z którymi jest związany interes narodowy, a zwłaszcza interes własnej kieszeni, żaden Francuz nie poskąpi pieniędzy... Znajdą się wtedy nie tylko miliony, ale miljardy... Zresztą, jak sprawa stoi?...

— Zdaje się, że bardzo dobrze... Pierwszy transport maszyn i przyrządów odpłynął już z Marsylji do Algeru... Drugi — dziś lub najpóźniej jutro wysłany zostanie, a za nimi pójdą dalsze... Napływ zgłaszających się na akcje, jak pan sam powiada, jest bardzo znaczny. A więc posiadamy wszystko, co jest nam potrzebne: kapitały i teren do pracy. Pozostaje tylko wprowadzić w czyn pomysły moje, a rzecz cała zostanie załatwioną, i Sahara zakipi nowem życiem...

— Czy tylko te pomysły pańskie nie zawiodą czasem?... — spytał tonem wahającym się młody milioner.

Inżynier Halicz zwrócił na niego błyszczące jakimś wewnętrznym ogniem oczy i rzekł z naciskiem:

— Jestem ich pewien tak, jak siebie samego... Nie narażałbym na straty ani pana, ani tych, co z ufnością kapitały swoje lokują w akcjach naszego Towarzystwa, gdybym nie był przekonany o doniosłości moich wynalazków. Po głębszym namyśle i rozwadze dopiero zaproponowałem panu ten interes, i to jeszcze wahałem się, czy postawić go na takiej stopie. Dopiero przeświadczenie, że jest on czysty i pewny, skłoniło mnie do tego. Jestem Polakiem, panie Leblanc.

To mówiąc, inżynier z dumą podniósł do góry głowę.

— Nie przedsiębiorę nigdy nic takiego, coby lekkomyślnem było i mogło innych na straty narazić...

W słowach jego było tyle godności i mocy, że Maurycy Leblanc mimowoli wstał z miejsca, i wyciągając ku niemu rękę, rzeki pełnym szacunku głosem:

— Daruje pan, lecz wcale nie miałem myśli urażenia go... Najlepszy dowód, że pokładam zupełną ufność w genialności wynalazków pańskich, złożyłem chyba tem, że ofiarowałem do pańskiej dyspozycji cały mój majątek...

— Tak, lecz...

— Lecz pan go odrzucił, — przerwał mówiącemu pan Leblanc — i przyjął tylko część, nie chcąc mnie w razie niepowodzenia narażać na ruinę. To jest najlepszym świadectwem charakteru pana...

Tu rozmowę ich przerwało dyskretne pukanie do drzwi, a gdy inżynier Halicz za wołał:

— Proszę!... — drzwi otworzyły się i na progu stanął jeden z pracowników biurowych.

— Depesza! — rzekł krótko, podając złożony papier inżynierowi.

Ten wziął go do ręki, rozerwał szybko i przebiegać począł oczyma.

Na twarzy jego ukazał się rumieniec, a usta wykrzywił uśmiech.

— Znakomicie!... — zawołał, podając depeszę pann Leblanc, — niech pan, proszę, przeczyta. To od bratanka mego Czesława. Donosi mi, że pierwszy transport szczęśliwie dopłynął do Algieru, że złożony został w specjalnie na ten cel wynajętych składach, i że czeka na resztę transportu. Tymczasem zająć się ma wynajęciem wielbłądów i ludzi, celem przewiezienia tego wszystkiego do najbliższej oazy, któraby posłużyła za podstawę do dalszej naszej działalności... gdzie-byśmy mogli położyć kamień węgielny całego przedsięwzięcia, które tak radykalnie zmienić ma wygląd Afryki, a Francji napędzić nowe miljardy...

Umilkł inżynier, a widząc, że urzędnik stoi przy drzwiach nieruchomo, jakby czekając na dalsze rozkazy, rzekł:

— Już nic, panie Dacre, może pan odejść.

Lecz urzędnik, skłoniwszy się tylko, odparł:

— Panie dyrektorze... Tam przyszedł jakiś niemłody już człowiek... prosi koniecznie o przyjęcie i posłuchanie, mówi, że jest rodakiem pana dyrektora...

Wyraz znużenia odbił się na twarzy Halicza.

Znów jeden z rodaków. Jeden z tych, co wyrzuceni falą losu poza granicę Ojczyzny, szukać muszą zarobku na obcej ziemi. A nie umiejąc nic praktycznie, czepiają się byle czego i byle kogo, żeby tylko żyć, żeby nie zginąć marnie z głodu gdzie pod płotem.

I ten rodak zapewne przyszedł prosić go o jałmużnę albo o posadę w nowotworzającym się Towarzystwie... Tu wzrok jego padł na siedzącego naprzeciwko milczącego Leblanca.

Nie, nie może przyjąć teraz tego rodaka, nie może przy tym właśnie Francuzie, wykwinnym, wytwornym, przywykłym do zbytku, i z drwiącą ironją patrzącym na wszystko, co tylko z nędzą i biedą styczność miało, co tylko ubóstwem trąciło, obnażać całej nędzy swych współziomków.

I wyprostowując się w fotelu, rzekł głosem silnym:

– Proszę, powiedz mu pan, że nie mam dziś czasu. Niech przyjdzie jutro, albo zresztą wyłoży piśmiennie, czego chce odemnie... Nie mam czasu na posłuchania. Nie mam czasu...

Pan Dacre spojrział zdziwiony na dyrektora, zdziwiony tem, że po raz pierwszy odprawiał biedaka i to do tego rodaka, bez wysłuchania go, nie rzekł jednak nic i, lekko skłoniwszy się, wyszedł z gabinetu.

Zapanowała tam przykra cisza, nie przerywana żadnym odgłosem, dobiegającym z zewnątrz.

Inżynier Halicz, ażeby ukryć swe zmieszanie, pogrążył się w odczytywanie jakiegoś długiego listu. Leblanc również milczał, przyglądając się rozłożonym na stole planom, starając się z nich zrozumieć choć cośkolwiek, od czasu do czasu rzucał tylko ukośne spojrzenia na twarz inżyniera, jakby chcąc z niej wyczytać nurtujące go myśli...

Lecz twarz tegoż stanowiła nieruchomą maskę, i tylko przecinająca czoło głęboka zmarszczka świadczyła o myślach, kłębiących się pod czaszką.

Cisza taka trwała dość długo.

Przerwał ją wreszcie inżynier Halicz, mówiąc do Leblanca.

– Jeżeli wszystkie dalsze roboty będą iść w tem tempie, i o ile fabryki dostarczą nam na czas potrzebnych maszyn, to w przeciągu roku

znaczna część Sahary zdadną będzie do kolonizacji, a za dwa lata droga między Algierem, a posiadłościami francuskimi w Senegalu otwartą...

— I dzieło twe, panie inżynierze, — odrzekł z kurtuazją Francuz, — skończone, uwieńczone powodzeniem.

— O nie! — odparł żywo Halicz, — praca moja nigdy nie będzie skończoną... Zapomina pan o tem, jak znaczne jeszcze obszary na kuli ziemskiej pozostają nieuprawne, jakie przestrzenie zajmują piaszczyste pustynie... Uczynić je zdolnymi do uprawy, osiedlić na nich nadmiar ludności, zmusić jałowe dotychczas piaski do rodzenia zbóż, wy-

zyskać wszystkie ukryte w ich głębi bogactwa mineralne — oto zadanie i cel mój... Wystarczy mi przy tem pracy na długie... długie lata... I tak ja tylko dokonam częśćka tej pracy, resztę pozostawię następcom swoim...

Inżynier mówił z zapałem, dał mu się porwać, unieść... Oczy mu błyszcząły, zdało się, iż urósł, wyolbrzymiał.

Leblanc patrzył nań z podziwem, i już miał coś rzec, gdy naraz rozległo się znów pukanie dyskretne do drzwi.

— Proszę! — zawołał Halicz.

Drzwi się otworzyły, i na progu stanął pan Dacre, zbliżywszy się do biurka, rzekł:

— Ten pan nie chce odejść. Mówi, że musi koniecznie widzieć się dziś z panem. Powiada, że wystarczy powiedzieć tylko jeden wyraz, a pan zaraz go przyjmie.

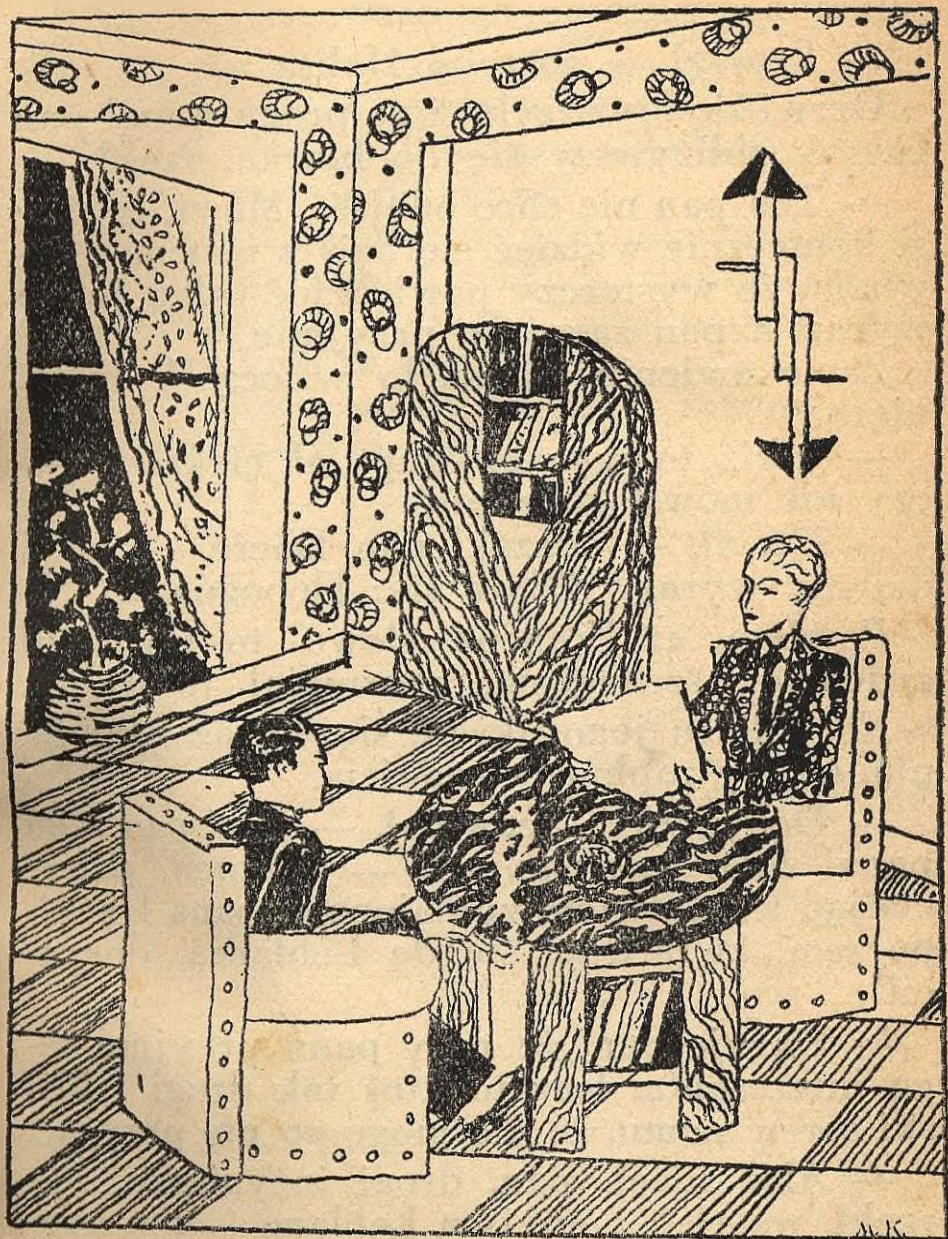
Zaciekawienie błysnęło w oczach inżyniera.

— Jakież to wyraz? — zapytał ciekawie, — czy nie mówił go panu?

— Mówił, — odrzekł pan Dacre, - jakiś dziwny wyraz. Zdaje się: Dębogóra...

Pomimo, iż Francuz słowo to wymówił znacznie przekręcone, zrozumiał je Halicz.

Na obliczu jego ukazał się wyraz zdumienia, a oczy zapłonęły radością.



Leblanc patrzył nań z podziwem.

– Dębogóra! – zawołał, – proś pan tego pana! Proś natychmiast, – dorzucił, popychając ku drzwiom zdumionego pana Dacre, poczem, zwracając się do Leblanca, dorzucił:

– Daruje pan, że przy panu przyjmę tego interesanta, lecz to ktoś tak drogi i bliski sercu memu, że nie mogę go nie przyjąć.

– Ależ niech pan, drogi inżynierze, – rzekł, wstając z miejsca Leblanc – nie krępuje się mną. Ja i tak wychodzę... Jutro będę, by dowiedzieć się bliższych szczegółów o stanie zapisów na akcje... Żegnam pana!

I uściskawszy mocno dłoń Halicza, skierował się ku drzwiom, gdzie na progu minął się ze starcem o wyniosłej postawie, o orlej twarzy, i płonących ogniem młodości oczach, o bujnej siwej czuprynie.

Cała postawa starca tego nakazywała mimowolny szacunek i posłuch. Skłonił się mu też mimowolnie Leblanc, przechodząc obok niego i zniknął za drzwiami.

W gabinecie pozostali sami: inżynier Halicz i wyniosły starzec...

II.

TUŁACZE.

Przez chwilę dłuższą stali naprzeciw siebie nieruchomo, wpatrując się w siebie, mierząc się pełnami ciekawości, badawczymi oczyma...

Widać w nich było i rozradowanie jakieś dziwne, i ciepło serdeczne, i wiły się pytania, których usta wypowiedzieć nie mogły, czy nie chciały...

Wreszcie przerwał to milczenie pierwszy Halicz...

— Wuju! — rzekł cicho, zwracając się do starca, i wyciągnął ku niemu ramiona.

— To ty, siostrzeńcze! — odrzekł mu starzec, — ty, tak wielki i głośny obecnie... ty, co wzniosłszy się dzięki reklamie gazeciarskiej tak wysoko, odmawiasz przyjęcia rodaka, odprawiasz go od progu, nie zapytawszy się uprzednio, czy nie jest głodny?... Czy jadł co? czy ma środki do życia? Wytłumacz mi się, proszę, z tego, a wtedy do-20piero podam ci rękę... Inaczej obcy sobie jesteśmy.

Na twarzy Halicza ukazał się rumieniec.

— Daruj, wuju, — rzekł po chwilowym namyśle, — przyznaję się, zawiniłem. Lecz teraz tylu schodzi się rodaków bez chleba, tylu ich prosi o zajęcie lub pomoc, a ja, przy całym nawale swej pracy, nie mogę udzielić im ani sekundy czasu. Dlatego też muszę odprawiać ich...

— Dlatego, — surowo rzeki starzec, siadając na fotelu, — to zbyt błahy powód. Pamiętaj, że to są tułacze, bez dachu, bez chleba, włóczący się po całym świecie, pędzący marny żywot... Pamiętaj i o tem, że my wszyscy tworzyć winniśmy jedno wielkie bractwo, jeden wielki zakon, którego członkowie wszyscy wzajemnie pomagają sobie winni, i że wszystko winno być wspólne. Wspomnij też sobie i rozmowy, i plany, i rojenia wspólne nasze, w Dębogórze snute, a wtedy sam uznasz, czy postąpiłeś słusznie i sprawiedliwie.

Inżynier Halicz, Człowiek o wszechświatowej sławie, stojący na czele olbrzymiego przedsięwzięcia, rozporządzający olbrzymimi funduszami, twórca potężnego dzieła, które imię jego rozstawić miało po całym świecie, słuchał słów starca z opuszczoną na piersi głową.

– Tak, przyznaję, – odparł wzruszonym głosem, – nie postąpiłem tak, jak powinienem był postąpić. Pochłonięty nadmiarem pracy, zapomniałem, wuju, o wszystkim, i, proszę cię, przebacz mi to zapomnienie, zwłaszcza, że cała terażniejsza praca moja ma na celu dobro właśnie tych rodaków – tułaczy...

Starzec zmarszczył brew i, patrząc na niego badawczo, rzekł:

– Opowiedz mi o tych planach swoich. Są one tak fantastyczne i tak olbrzymie, że, czytając o nich artykuły dziennikarskie i reklamy, nie chce się im wprost wierzyć. Zdjął mnie też lęk, panie siostrzeńcze, czy obracając się w sferze aferzystów giełdowych paryskich, nie przejąłeś się ich zwyczajami, lub też nie wpadłeś w ich sidła i nie umaczasz rąk w jakiejś brudnej sprawie.

– Wuju, – zawołał z wymówką w głosie Halicz, – znasz mnie chyba dobrze, i wiesz, że nie zdolny jestem do czynu, któryby się minął z pojęciem uczciwości i honoru. Sprawa i dzieło, do którego się zabieram, bezwzględnie muszą być czyste i pewne, gdyż inaczej nie przystępowałbym do nich... Ci bankierzy i milionerzy są tylko narzędziem w mem ręku... narzędziem, dostarczającym mi środków do przeprowadzenia planów moich.

– Opowiedz więc mi o nich, – rzekł już znacznie łagodniej starzec, – wtajemnicz i mnie w nie, bym choć w drobnej może części mógł ci się stać pomocny.

Inżynier Halicz na to wezwanie podszedł do stołu, wziął leżącą na nim mapę, i rozwijając ją przed starcem, mówić zaczął:

– Patrz, wuju na te bezbrzeżne, bezkresne prawie morze piasku, jakie przedstawia Sahara... Leży ona odłogiem, nieurodzajna, pusta, podczas gdy miliony ludzi nędzę cierpi, głód znosi, nie mogąc, znaleźć pola do pracy, gdyż ziemia uprawna płodami swymi wykarmić ich nie może.

Oto zadaniem mojem i celem jest te bezpłodne przestrzenie uczynić urodzajnymi, zdawnymi do uprawy, do rodzenia owoców i zbóż... Prócz tego, wyzyskać chcę niepotrzebne skarby mineralne, kryjące się pod piaszczystą powierzchnią tej pustyni.

– Plan piękny, – rzekł starzec, który z uwagą słuchał opowieści Halicza, – lecz przy pomocy czego dokonasz tych cudów?

– Przy pomocy elektryczności, – odparł spokojnie zapytany—ona to zdolna jest dokonać wszystkiego, i ona to jest głównym czynnikiem, który posłuży do odrodzenia się pustyni...

– I ty sam... sam, chcesz dokonać tego dzieła.??...

– Nie, wuju, nie sam,, mam pomocnika, który już z pierwszym transportem potrzebnych maszyn i narzędzi wyruszył na Saharę... Jest nim bratanek mój, a twój wnuk, Czesław... Pracował on dłuższy czas pod moim kierunkiem, wtajemniczony jest we wszystkie me plany, projekty i wynalazki, tak, że w razie mej śmierci, on jeden tylko mógłby być odpowiednim kierownikiem rozpoczętych prac i przygotowań... dalszym wykonawcą moich planów.

Zamyślił się starzec nad słowami jego, wreszcie zapytał:

– A skąd weźmiecie kolonistów do zaludnienia przygotowanych do uprawy terenów.

– Skąd?... a czyż to mało ludzi rok rocznie odrywa się od roli, od pracy przy niej, by podążać za Ocean po chleb, po zarobek... I tam już jednak uczuwa się przeludnienie... Toż całą tę falę emigrantów skierować chcemy na utworzone przez nas kolonie, przyczem dawać im będziemy warunki jak najdogodniejsze. Oderwani od ziemi ojczystej, tułacze ci bliżej będą kraju rodzinnego, będą mogli łatwiej z nimi utrzymać kontakt, złączeni razem, nie zatracą tak rychło mowy ojczystej, a bogacając się tu, nieść pomoc w potrzebie Ojczyźnie będą mogli, zwłaszcza, że o zachowanie odrębności narodowej każdej grupy kolonistów gorąco dbać będziemy i energicznie zapobiegać ich wynaradawianiu...

Umilkł Halicz, a starzec siedział w milczeniu, z głową wspartą na dłoni. Wstał wreszcie, wyciągnął do siostrzeńca ramiona i rzekł:

– A więc niech Bóg ci błogosławi w pracach twych i zamiarach... Jeżeli w dziele twym para rąk przydać się może – masz mnie. Staję do pracy pod kierunkiem twoim, widząc, że dzieło to twoje uczciwem jest i że dobro ludzkości ma na celu... Lecz nie chcę stawać do pracy z gołemi rękoma... Zakupię paręset akcji tego przedsiębiorstwa i, jako akcjonariusz, żądam stanowczo, byś wysłał mnie na teren przyszłej pracy, do Afryki...

Gorąco uściskał go Halicz i zawołał:

– Nie mógłbym marzyć o lepszym pomocniku nad wuja. We trzech teraz stworzymy dzieło, które wiekopomnem będzie i które do uszczęśliwienia ludzi przyczyni się znacznie.

– Kiedyż więc mam jechać? – spytał niecierpliwie starzec, wskaż mi termin i udziel instrukcyj... Pragnę czynu, pragnę dokazać, że przydać się do czegoś mogę.

Inżynier Halicz spojrzął do notatnika i spytał:

– Czy mógłby wuj wyruszyć w drogę za trzy dni?

– Choćby jutro nawet, – odrzekł zapytany, – rzeczy mam spakowane, tak że tylko siadać na okręt i jechać.

– A więc za trzy dni, – ciągnął dalej Halicz, – wyrusza z Marsylji do Algieru okręt, naładowany częściami maszyn i przyrządów, potrzebnych nam do budowy pierwszej stacji. Możeby wuj udał się nim, a na miejscu, w Algerze, roboty będzie już niemało... Czesław udzieli tam wujowi potrzebnych wskazówek.

– Dobrze, mój chłopcze! – odrzekł, wstając, starzec, -- przecho-dzę w zupełności pod twoją komendę, i posłusznie rozkazy wykonywać będę. A wiesz dobrze, że subordynacja jest mi dobrze znaną... Żegnaj za-tem, a w przeddzień wyjazdu wpadnę do ciebie po rozkazy.

Uściskali się serdecznie, i starzec wyszedł, a inżynier Halicz stał chwilę pogrążony w zadumie...

Zasiadł potem przy biurku i gorączkowo zabrał się do pracy...

III. W ALGIERZE.

W porcie algerskim ruch panuje wielki, Po olbrzymim bulwarze, zawalonym stosami skrzyń i beczek z towarami, snuje się różnobarwny tłum, złożony z przedstawicieli wszystkich nieomal raz i narodów na świecie, Oprócz rdzennych mieszkańców Afryki, Arabów, Fellahów i Murzynów, nie brak tam li Europejczyków, a gdzieniegdzie nawet przewinie się i skośnooki, żółtawy mieszkaniec Azji, brunatny Hindus i Malajezyk, a nawet gdzieniegdzie widać i czerwonoskóbych Indjan.

Gwar i hałas panują tam ogłuszająco. Każdy woła w swoim języku, starając się przekrzywić drugiego, a wszystko tworzy razem istną wieżę Babel...

Robotnicy, zajęci wyładowywaniem lub naładowywaniem okrętów, przyczyniają się do jeszcze większego hałasu. Od czasu do czasu w całe to piekło i wrzawę wdziera się potężny głos syreny jednego ze stojących w porcie okrętów.

W jednym punkcie portu stoi gromadka ludzi, w milczeniu wypatrująca coś na morzu. Na twarzach ich znać zniecierpliwienie i niepokój...

Ręcę, że „Liberte” nie przyjdzie dziś, - rzekł jeden z gromadki po polsku do drugiego, jasnego blondyna wyniosłego wzrostu, o energicznym wyrazie twarzy.

— Nadejdzie, — odrzekł tenże, — stryj telegrafował mi, że jest już w drodze. Powinien więc dziś przybić do portu.

— Tak, Czesławie, lecz pamiętaj, że wczoraj szalała na morzu burza... że Bóg wie, co mogło się stać z okrętem, — rzucił pierwszy.

— „Liberie” jest statkiem mocno zbudowanym, — wtrącił się do rozmowy trzeci z młodzieńców, — i nie ulęknie się takiej burzy, jaka była wczoraj. Najwyżej wpłynąć ona może na parogodzinne opóźnie-

nie. Chodźmy teraz do domu, a za jakie trzy godziny wrócimy tu, by się przekonać, czy nie nadpływa...

Już wszyscy trzej mieli w czyn wprowadzić ten projekt towarzysza, gdy naraz rozległy się okrzyki:

— Okręt!... okręt!... — i wnet uwaga wszystkich zebranych w porcie zwróconą została na nikły obłoczek dymu, widniejący w oddali na horyzoncie...

Trzej towarzysze zatrzymali się, i jeden z nich, nazwany Czesławem, a który był

Czesławem Haliczem, bratankiem inżyniera, wydobył lunetę, i bacznie przez nią przyglądać się zaczął zbliżającemu się okrętowi.

— To „Liberte”, — zawołał po chwili, — poznaję go po budowie. Powinien za godzinę tu być...

A okręt tymczasem zbliżał się coraz bardziej do portu, rósł niemal w oczach, aż wreszcie widocznym się stał napis, umieszczony na przodzie jego: „Liberte .

Zbliżył się wreszcie zupełnie do portu, podpłynął do bulwaru, śruby obróciły się jeszcze parę razy, i z pokładu na bulwar rzucono mostek, po którym udali się na siatek przedstawiciele władz portowych, celem załatwienia niezbędnych formalności. Za nimi w ślad udał się Czesław Halicz z towarzyszami.

Tłoczyć się za nimi poczęli liczni tragarze, murzyni i arabi, lecz tych nie puścili dalej marynarze, którzy stanęli na straży przy mostku.

— No cóż, kapitanie! — zawołał Czesław Halicz, uściskiem ręki witając starego wilka morskiego, — szczęśliwie, bez wypadku, odbyłeś podróż?... Nie uszkodziła czego wczorajsza burza?...

Zapytany roześmiał się i odparł:

— A cóż znaczyć taka burza dla naszej „Liberte“? Dziesięć takich przetrzyma i nic się jej nie stanie. Oho, nieraz już ona staczała wałki z rozszalałym żywiołem i zawsze zwycięsko z nich wychodziła.

W trakcie tej rozmowy podszedł do nich wyniosły starzec, którego poznaliśmy już w gabinecie inżyniera Halicza, i zwracając się do młodzieńców, zapytał:

– Który z was, panowie, jest Czesław Halicz?

– Jam jest, – odrzekł Czesław, ciekawie patrząc na pytającego, – czem mogę panu służyć?

– Jak się masz, chłopcze, – rzekł starzec, ujmując go za ramiona i wpatrując się badawczo w twarz jego, – nie poznajesz mnie? Nic dziwnego. Ostatni raz, gdyś mnie widział, małem byłeś pacholęciem... Może nazwisko moje ci co powie... – Jestem Erazm Skarczewski...

– Dziad Erazm! – zawołał uradowany Czesław, chwytając starca za rękę i całując go gorąco.

I jednocześnie falą napłynęły mu do głowy wspomnienia. Jak przez mgłę widział wyniosłą postać tego pięknego starca, gdy pochylony nad nim, całował go w czoło, a łza, ciężka, gorąca łza stoczyła się mu z oka na czoło jego... Czuł jeszcze do dziś dnia tę łzę palącą...

Później mówiła mu matka, że dziad Erazm za swą działalność zesłany miał być daleko, hen! na Sybir.

I od czasu tego nauczył się z gorącą czcią i miłością powtarzać imię tego dziada, imię,

które stało się nieomal legendarnem w rodzinie...

A teraz starzec ten stoi przed nim, tuli go w objęciach... Tem goręcej też uściskał dziada.

– No, chłopcze! – rzekł pan Erazm, gdy pierwsza chwila rozzerwienia minęła, – przychodzę, by stanąć tu wraz z wami do pracy, do czynu, by przy was odżyć drugą młodością... Szczegółowiej objaśni cię o tem list wuja Kazimierza.

I podał mu kopertę z listem.

– Wszystko, dziadku, znakomicie się składa. Zajmiesz teraz moje miejsce tu, będziesz odbierał transporty i wysyłał je na miejsce przeznaczenia. Jeden z moich towarzyszków pozostanie ci do pomocy, ja zaś ze wszystkimi pracownikami naszymi udam się do punktu, w którym



...wydobył lunetę i bacznie przez nią przyglądać się zaczął.

też energicznie zająć wyładowaniem okrętu.

I zwracając się do kapitana, dodał:

– Panie kapitanie, proszę, po załatwieniu formalności urzędowych polecić natychmiastowe wyładowanie okrętu, tak, żeby cały ładunek na wieczór już był u nas w składach...

– Dobrze, panie inżynierze! – odrzekł z ukłonem kapitan, – już porucznik kończy załatwianie formalności, a ja zaraz przywołam tych czarnych djabłów, i pod komendą załogi zaczną oni przenosić ładunek do składów.

I wprowadzając w czyn te słowa, wnet przywołał gromadkę arabskich tragarzy i rozpoczął z nimi hałaśliwe pertraktacje.

Czesław Halicz tymczasem zaznajomił pana Erazma z towarzyszami swymi, poczem, pozostawiwszy jednego z nich na straży przy wyładowaniu, udali się razem do położonych nieopodal portu składów „Towarzystwa Kolonizacji Sahary“.

Były to olbrzymie budynki, podobne do wielkich spichrzy, wyładowane pakami.

Na podwórzu i w samych składach uwijało się wielu ludzi, zajętych pracą przy przeładowywaniu pak oraz przy oczyszczaniu maszyn różnych i narzędzi.

– Tu się koncentruje główny ruch naszego Towarzystwa... Tu składowane są wszystkie transporty, oczyszczane i przepakowywane do dalszej podróży w głąb pustyni, do punktu, który obieramy za centrum dla swej działalności...

– Gdzie to jest? – zapytał pan Erazm.

– Tuż zaraz za oazą Tuat, nieopodal wyżyny Mnidir. Lecz to tymczasowe będzie stanowiska nasze, gdyż następnie mamy zamiar przedostać się aż do pasma wzgórz Ahaggar, i tam, na samym zwrotniku Raka, założyć pierwszą naszą stację. W miarę potrzeby stacje te posuwane będą coraz bardziej na południe, ku krainom zamieszkałym i rodzajnym na wybrzeżu gwinejskim.

W trakcie tej rozmowy zbliżył się do nich średnich lat mężczyzna, o inteligentnym wyrazie twarzy, ubrany w bluzę robotniczą i, zwracając się do Czesława, zapytał: czystą polszczyzną:

– Panie inżynierze, czy „Liberte“ nadpłynęła, i czy dziś jeszcze ładunek zniesiony zostanie ?

– Nadpłynęła, panie Józefie! – odrzekł zapytany, – a ładunek jej dziś jeszcze znajdzie się u nas w składach...

– Trzeba więc wydać polecenie, by miejsce przygotowano na nie.

Już miał odejść, gdy Czesław zapytał go:

– Panie Józefie, czy Abdul nie przychodził tu dziś?

– Był, panie inżynierze... był... a jakże, czyż to który dzień obyłby się bez niego... Pytał się, czy karawana prędko będzie potrzebna do przewiezienia towarów w głąb pustyni...

– A więc, gdy jeszcze dziś przyjdzie, zechce pan mu powiedzieć, ażeby zobaczył się ze mną. Niezależnie od tego, zechce pan uprzedzić wszystkich, że wyruszamy w drogę najdalej za trzy dni. Na ten czas muszą być wszystkie ładunki gotowe.

– Czy pan dyrektor już przyjeżdża? – zapytał pan Józef z błyskiem radości w oczach.

– Nie jeszcze, lecz tymczasem komendę tu obejmie dziad mój, a my wyruszamy w drogę, by już na miejscu przystąpić do czynu.

Skłonił się pan Józef z szacunkiem panu Erazmowi i nic nie mówiąc już, odszedł do zajętych pracą ludzi.

– Czy wielu Polaków znajduje się wśród waszego personelu? – zapytał ciekawie pan Erazm.

– Prawie połowa. Resztę stanowią Francuzi... Komplet pracowników mamy dobrany, jak rzadko... każdy jest chętny, gorliwy w pracy, pojętny, a przytem wszyscy ściśle przestrzegają tajemnicy, tak niezbędnej przy przeprowadzaniu naszych planów.

Zwiedzać zaczęli składy, naładowane towarem, w których wrzała praca przy przygotowaniach do podróży.

Czesław Halicz kolejno objaśniał pana Erazma o zawartości pak i o ich przeznaczeniu. Zbliźali się już do końca, gdy ukazał się jeden z robotników, mówiąc, że przyszedł Abdul i chce widzieć się z panem inżynierem.

Skierowali się więc ku wyjściu na podwórze, gdzie oczekiwał na nich wysmukły Arab o śniadej pięknej twarzy, otoczonej czarnym, bujnym zarostem, otulony białym burnusem.

Przywitawszy „Salemem” na sposób wschodni młodego inżyniera, stał wyprostowany dumnie, wpatrując się w niego błyszczącym spojrzeniem.

– Abdulu, – rzekł Czesław do niego, – czy karawana twoja będzie mogła być gotową do wyruszenia w drogę za trzy dni?

– Jak każesz, panie, – odrzekł Arab, – wola twoja spełnioną będzie.

– Ile sztuk wielbłądów możesz mi na czas ten dostarczyć? – pytał dalej Czesław.

– Ile każesz, panie... Wszystkie będą młode, silne, wypoczęte, gotowe do odbycia najdalszej drogi w pustyni.

– A iloma ludźmi możesz rozporządzać, Abdulu ?

– Tyloma, ilu będzie potrzeba do prowadzenia wielbłądów i do obrony karawany w razie napaści Tuaregów.

– A czy wierni oni będą? czy można im będzie zaufać?

– Tak, jak sobie samemu, panie! – uroczyście odrzekł Abdul, – każdy z nich zaprzysięgnie ci wierność i posłuszeństwo na brodę proroka.

Zamyślił się przez chwilę Czesław, wreszcie rzekł:

– Dobrze zatem... Zgłoś się dziś jeszcze do biura wieczorem, a otrzymasz szczegółowy wykaz potrzebnej nam ilości ludzi i wielbłądów, a za trzy dni postaraj się, ażeby wszystko gotowe było do drogi.

– Stanie się zgodnie z twą wolą, panie, – rzekł Abdul, i złożwszy ręce na piersiach, skłonił mu się, i dumnym, majestatycznym krokiem opuścił podwórze.

– Czy pewien jesteś tego Araba? – zapytał po jego wyjściu Czesława pan Erazm.

– W zupełności. Ma on względem stryja Kazimierza wielki obowiązek, – odrzekł tenże.

– Jakież to? – zapytał z zaciekawieniem w głosie pan Erazm.

– Przed paru laty, gdy stryj Kazimierz dla studjów naukowych przebywał tu, w Algerze, schwytany został na gorącym uczynku zabójstwa młody Arab. Zabił on starego Beduina, znanego z wielu wypraw rozbójniczych. Przeprowadzone śledztwo wyjaśniło, że z ręki Beduina tego zginęła cała rodzina młodego Araba... Czyn więc jego był prostą zemstą, rodzajem vendetty korsykańskiej. Według prawa groziła mu za to kara śmierci... Los młodego Araba budził we wszystkich współczucie. Zainteresował się nim również stryj Kazimierz, zbadał dokładnie akta sprawy, i zgłoszwszy się do prezesa sądu, oświadczył, że podejmuje się obrony jego. Choć nie prawnik, wymową jednak swoją oraz mocą argumentacji, na podstawie badań zwyczajowych i etnograficznych, wzruszył całą publiczność. Lecz nie dość tego, potrafił nawet przekonać i sędziów przysięgłych, którzy jednogłośnie wydali wyrok uniewinniający. Wtedy młody Arab padł do nóg stryjowi Kazimierzowi, i przysiągł uroczyście, że wiernym mu będzie do śmierci, i że w razie potrzeby – życie chętnie odda za niego. Tym Arabem był Abdul.

– No, to można być pewnym, – zauważył pan Erazm, – że przysięgi swej dotrzyma. Znam trochę Arabów i wiem, że umieją oni być wdzięczni.

IV.

ZAGADKOWA KARAWANA.

Uroczyście żegnano udającą się w podróż w głąb pustyni pierwszą karawanę kolonizatorów Sahary.

Do granic miasta odprowadzali ich przedstawiciele władz, dziennikarze, różne korporacje i stowarzyszenia oraz tłumy mieszkańców.

Przy ostatecznym pożegnaniu nie było końca mowom, hucznym wiatom i okrzykom na cześć śmiałych podróżników, wychylono wiele toastów, i wreszcie Czesław Halicz uściskał po raz ostatni pana Erazma, skłonił się kapeluszem wszystkim odprowadzającym i, stanąwszy na czele karawany, dał znak do dalszego pochodu,

Wyciągniętym węzłem posuwali się naprzód, żegnani pełnemi entuzjazmu okrzykami algerczyków, kierując się w stronę zarysowujących się w oddali na błękicie niebios gór Atlasu, po przebyciu których wstąpić już mieli w granice pustyni Sahary.

Tej Sahary, w którą tchnąć nowe życie miało być ich zadaniem i celem.

Karawana była olbrzymia, gdyż liczyła z górą sto wielbłądów, obładowanych pakami z częściami maszyn oraz zapasami żywności i worami skórzanemi na wodę, którą nabrać w nie mieli przed zapuszczeniem się w głąb pustyni w pierwszej napotkanej po drodze oazie.

Oprócz tego towarzyszył jej znaczny oddział jeźdźców arabskich, uzbrojonych w karabiny najnowsze systemu, pozostających pod wodzą Abdula, których zadaniem było bronienie karawany przed napaściami band rozbójniczych Beduinów, tak gęsto snujących się po piaszczystych obszarach Sahary, a głównem zajęciem których było napadanie i ograbianie po drodze karawan.

Podobnież uzbrojeni byli i towarzyszący wyprawie rzemieślnicy, którzy po przybyciu na miejsce zająć się mieli składaniem maszyn i puszczeniem w ruch całego przedsięwzięcia.

W każdej chwili mogli się oni zamienić w dobrze wyćwiczony oddział wojska regularnego i dzielnie stawić czoło napastnikom... Każdy z nich przedtem odbywał długie ćwiczenia z bronią, przygotowanym więc był należycie.

Niższa służba, zajęta posługą przy wielbłądach oraz przygotowaniem posiłku, a składająca się przeważnie z murzynów, do-pełniała karawany, do której podobna nigdy chyba nie deptała piasków Sahary, chyba że za czasów pierwszych wypraw zdobywczych Arabów.

Na czele jej j podążał Czesław wraz z Abdulem, prowadzącym karawanę i wskazującym jej drogę.

Jako prawdziwe dziecko pustyni, znał on znakomicie każdy szlak na niej, orjentując się wśród jej piasków z podobną łatwością, jak marynarz wśród bezbrzeżnych fal oceanu.

Na małych, rażnych, zwinnych berberyjskich konikach wysuwali się naprzód nieraz o cały kilometr, by zbadać drogę pod względem technicznym, mianowicie, czy będzie ona nadawać się w przyszłości do przeprowadzenia przez nią linii kolei elektrycznej, mającej połączyć nowe obszary kolonizowane z Algierem.

Rażno posuwano się naprzód przez przestrzenie. okryte ogrodami, winnicami oraz łanami zbożowymi kolonistów, sprowadzonych do Algeru z Francji i oddawna już tam osiadłych.

Wszyscy byli w znakomitem usposobieniu i pełni otuchy, że zamierzony cel osiągnięty zostanie, że nieprzystępne, tajemnicze obszary pustyni ulec muszą przepotężnej woli człowieka i przynosić płody.

Napotykanie gromady arabskich koczowników z podziwem i zdumieniem patrzyły na tak liczną i tak dobrze uzbrojoną karawanę przyczem do uszu Czesława i Abdula dobiegały przeróżne zdania, wygłaszane o celu jej i przeznaczeniu przez te dzieci pustyni.

Największy podziw ich wzbudzały olbrzymie palii, naładowane na kilka wielbłądów, a mieszczące skrzydła i inne części składowe aeroplanu nowej konstrukcji, oraz podążający prawie że na samym końcu karawany spory samochód o nader lekkiej konstrukcji, zastosowany do podróży po piaskach pustyni.

Służyć on miał do komunikacji między oazami, zanim przeprowadzoną zostanie linja kolei elektrycznej, łączącej oddzielne stacje.

Skończyły się wreszcie uprawne fermy kolonistów, rozpoczęły się piaszczyste przestrzenie, porośłe gdzieniegdzie prawie że suchymi źdźbłami trawy oraz rzadkimi kępami palm.

Rozpocynało się państwo pustyni.

Czesław Halicz iskrzącym wzrokiem zmierzył tę przestrzeń i, zaciąwszy rumaka, wybiegł znacznie naprzód.

Wybiegł, jakby chcąc nasycić wzrok jej bezgranicznym widokiem, jakby chcąc pełną piersią odetchnąć jej czystym, suchym powietrzem.

Lecz pustynia ta nie była bezbrzeżną... W oddali, w czystym, przejrzystym powietrzu odcinały się wyraźnie kontury gór Atlasu, po których przebyciu dopiero mieli ujrzeć Saharę, prawdziwą Saharę.

Karawana powoli posuwała się naprzód. Zatrzymywała się często dla odpoczynku, nie chcąc wyczerpywać sił zwierząt, pragnąc zachować je do uciążliwej podróży po piaszczystych przestrzeniach Sahary.

Po sześciu dniach wędrówki niezbyt uciążliwej i nużącej stanęli wreszcie u podnóża Atlasu. Wznosiły się przed nimi wyniosłe szczyty gór, okrytych śniegiem na samych wierzchołkach, a zielenią lasów poniżej...

Rozłożyli się tam obozem, i Czesław z Abdulem i towarzyszami swymi odbył krótką naradę nad tem, którą drogę obrać przez ten łańcuch górski. Jednogłośnie zgodzili się, że należy iść wąwozem, przez który była już przeprowadzoną linja kolejowa przez Saharę, jako najbezpieczniejszym i najłagodniejszym.

— Tak, — mówił, gestykulując żywo Abdul, — tam, panie, po przejściu, wejdziemy w krainę schottów, gdzie napotkamy wielką obfitość

wszystkiego, tam też odpoczniemy przez dwa dni, by wielbłądy nabrały sił do przebycia uciążliwej drogi w pustyni.

– Tam również, – rzekł Czesław do towarzyszków, – pożegnamy się z światem cywilizowanym na czas dłuższy... i zaczniemy pędzić życie nawpół dzikich koczowników... Powrócimy tam na czas pewien do stanu nawpół pierwotnego, weźmiemy rozbrat ze wszystkim, do *czego nas* cywilizacja przyzwyczyła... Musimy się wyrzec wielu wygód, co przyjdzie nam zrazu z trudnością, lecz przezwyciężymy je, byle tylko idea nasza zwyciężyła, byle tylko cel, do którego dążymy, osiągnięty został.

– Tak, – potwierdził Abdul, – lecz tam, panie, również trzeba będzie mieć się ciągle na baczności, gdyż wejdziemy w krainę, gdzie wiecznie, jak sępy na żer łakome, krążą Tuaredzy i inne narody pustyni, czyhające na zdobycz, któraby im obfity tup dała — Trzeba będzie zaraz wydać rozkazy zaopatrzenia się w ostre naboje oraz okrzyknąć baczność ogólną, – rzekł na to Czesław Halicz, – ty, Abdulu, poleć to swoim Arabom, i niech od dziś nikt sam nie oddala się od karawany. Dziś już tu zanocujemy, a jutro, skoro świt, puszczaemy się w dalszą drogę... przez wąwóz,

Abdul odszedł, ażeby wydać podwładnym swoim Arabom, odpowiednie rozkazy, a Czesław, przy pomocy towarzyszków, zajął się ustawianiem telegrafu bez drutu, by zaprowadzić połączenie ze stacją w Algerze, umieszczoną specjalnie w domu, należącym do Towarzystwa Kolonizacji Sahary i stanowiącym jego składy.

Ustawiono przyrząd wysyłający, i towarzysz Czesława, Henryk, ująwszy za rączkę klucza, przesyłać począł sygnały.

Niedługo czekał na odpowiedź. A wtedy pierwszym było pytanie: 44

– Z kim jesteśmy połączeni?

A gdy nadeszła odpowiedź:

– Tow. Kolonizowania Sahary, – telegrafował dalej:

– Stoimy u podnóża Atlasu, jutro od świtu rozpoczynamy przeprawę przez wąwóz, a pojutrze staniemy na granicy Sahary.

A na to nadeszła znów odpowiedź, tym razem już przesłana przez pana Erazma:

– Boże, błogosław ci, chłopcze, niech podróż wasza w dalszym ciągu odbywa się równie szczęśliwie; pamiętajcie jednak o broni i miejcie się na baczności przed Tuaregami.

– Czy niema wieści z Europy? – pytał dalej Czesław.

– jest list od stryja Kazimierza. Zaleca on ostrożność oraz po przybyciu na miejsce rozpoczęcie wiercenia studzien. Sam za dwa tygodnie ze sztabem robotników wyrusza w drogę. Nadszedł również transport nowych części do maszyn, między którymi są niektóre bardzo ważne. Co z nimi zrobić?

– Wysłać natychmiast koleją, – odelegrafował Czesław: – niech z transportem tym jedzie Stanisław; po dostawieniu go na miejsce, do stacji krańcowej kolei Sahara– Alger, wróci z powrotem. A my już tak pokierujemy naszą drogą, by transport ten zabrać...

Naraz stało się coś dziwnego. Odbieracz zaczął drgać, wibrować, i zamiast odpowiedzi – zarysowały się na pasku papieru zygzaki jakiegoś i splątane linje.

– Przerwane połączenie! – zawołał Henryk, towarzysz Czesława.

– Tak, na naszej drodze stanął ktoś inny, kto przejąć się stara wysyłane przez nas depesze. Trzeba wzmocnić siłę prądu i zapytać stryja, czy odebrał ostatnią odpowiedź, a zarazem przekonać się, czy naprawdę usiłowanym jest przejście depeszy... Byłoby to bardzo ważne, a zarazem i znamienne dla nas. Wskazywałoby, że jest ktoś, komu za leży na zdobyciu tajemnicy naszej wyprawy, a zarazem i na pokrzyżowaniu naszych planów. Puszczaj, Henryku, prądy coraz mocniejsze, gdyż wiele mi na tem zależy.

Poczęli więc wysyłać w stronę Algeru prądy coraz mocniejsze i wreszcie po długich usiłowaniach i przerwach udało się im uzyskać odpowiedź następującą:

– Prąd nam przerwano... Ostatnia odpowiedź doszła niejasno...
Powtórzcie!

Powtórzył więc ją Henryk, lecz tym razem, obawiając się, ażeby depesza nie dostała się w ręce kogoś niepotrzebnego, użył klucza szyfrowanego, znanego jednemu tylko Stanisławowi.

Po chwili też nadeszła odpowiedź tymże samym kluczem:

- Zrozumiałem. Wyjeżdżam jutro o świcie specjalnym pociągiem. Przesłano sobie jeszcze wyrazy pożegnania i przerwano połączenie.

Czesław z Henrykiem połączyli się z obozem, lecz pierwszy zaprzęgniętą miał głowę myślą, kto mógł być tym tajemniczym osobnikiem, przerywającym połączenie.

Pochłonięty rozmyślaniami o tem udał się na spoczynek, rozważając wciąż nad tem, komu by mogło zależeć na przejęciu porozumienia się ich i ewentualnem szkodzeniu im, Wszakże konkurencyjne przedsiębiorstwo nie istniało, i nie zanosiło się nawet na to, ażeby w krótkim czasie powstać mogło.

Po północy już było, gdy usnął, a skoro świt był już na nogach, wydając rozkazy szykowania się do dalszej drogi, pilnując osobiście wyruszenia karawany w uciążliwy i trudny pochód przez wąwóz Atlasu.

Już mieli wyruszyć w drogę, gdy naraz od tyłu nadbiegł młody Dżemil, bratanek Abdula i, kłaniając się Czesławowi, zawołał:

- Effendi, z tyłu za nami, widać podążającą jakąś karawanę.
- Jak liczna? – rzucił krótkie zapytanie Czesław.
- Nie taka, jak nasza, – z przechwałką w głosie odrzekł Dżemil, – tam tylko trzech Europejczyków, a reszta to Arabowie i murzyni... Ale nie mają nawet i dziesiątej części tych koni i wielbłądów, co my...

Zastanowiła Czesława ta tajemnicza karawana, podążająca wślad za nim, i wyprawivszy naprzód swoją, pod przewodnictwem Dżemila i Henryka, sam z Abdulem i ma Arabami postanowił czekać na jej przybycie i wyjaśnić cel jej podróży.

Jakiś dziwny instynkt szeptał mu, że między karawaną tą, a wczorajszem przerywaniem prądu w telegrafie bez drutu musi być jakiś związek.

Ukryci w cieniu palmy, czekali na ukazanie się tej tajemniczej karawany, by przyjrzeć się jej z bliska i ocenić jej siły. Zależało im na tem, by wiedzieć z jak znaczną liczbę nieprzyjaciół przyszłoby im walczyć w razie ewentualnego starcia, i czy siły ich mogłyby stawić opór.

Czekanie ich nie trwało długo... W godzinę jakąś prawie ujrzeli postępującą drogą karawanę, złożoną z kilkunastu Arabów i murzynów, siedzących na małych, lecz silnych berberyjskich konikach. W gromadzie tej z łatwością odróżnić można było trzech Europejczyków, w hełmach korkowych na głowach, w lekkich ubraniach płóciennych, z przewieszonymi przez ramię karabinkami. Wielbłądy, obciążone skrzyniami i worami, a prowadzone przez murzyńskich poganaczy, dopełniały całości karawany.

Pod względem liczebnym nie przedstawiała się ona wcale groźnie, a i co do uzbrojenia ustępowała znacznie karawanie Tow. Kolonizacji Sahary. Oprócz trzech Europejczyków i dwóch Arabów, zaopatrzonych w karabiny najnowszego systemu, reszta Arabów miała strzelby starego systemu, skałkówki.

Lecz mimo to na twarzy Abdula odbił się niepokój.

– Panie, – szepnęła cicho, pociągając za rękaw Czesława, – miejmy się na baczności i cofnijmy się ku karawanie.

– Dlaczegoż to? – zapytał tenże ze zdumieniem.

– Dlatego, – odrzekł szeptem Abdul, – że na czele tej właśnie karawany stoi największy rozbójnik między Arabami, Jossuf, który w wiecznych pozostaje kłótniach z Beduinami pustyni. Ze strony jego zawsze należy obawiać się jakiegoś niebezpieczeństwa. Nie bez powodu podąża on tą drogą za nami. Wąwóz ten omijają zwykle karawany, zwłaszcza turystów, gdyż nie daje on tak pięknych widoków, jak inne.

– A więc tembardziej nie powinniśmy się cofać, – zawołał z mocą Czesław, – przeciwnie, obowiązkiem naszym jest ostrzec tych Europejczyków przed grożącym im niebezpieczeństwem.

– Nie czyń tego, panie! – z przerażeniem w głosie zawołał Abdul. – Jussuf jest mściwy. Potrafiłby on mścić się na nas aż do dziesiątego pokolenia. Ci Europejczycy muszą wiedzieć, kto on jest, gdyż w Algierze każdy im to powiedział.

– A jak są to świeżo przyjezdni, którzy nie mieli czasu zapytać się kogokolwiek o niego, – gorączkowo spytał Czesław.



...nabiegł młody Dzemil, bratanek Abdula.

— O, nie, panie!... mieli oni czas na to... Tych Europejczyków ja już od dwóch tygodni widziałem kręcących się po Algierze. Zaglądali oni i na podwórze waszego domu, panie! A z Jussufem, to już od tygodnia chodzili po wszystkich kawiarniach, i z nim, i z innymi, do niego podobnymi tajemnicze po kątach prowadzili narady. Zdaje się, że to są ptaki z tego samego gniazda, co i Jussuf.

Zastanowiło to trochę Czesława. Zestawił fakty, porównał je i przyszedł do przekonania, że Jussuf, ci Europejczycy i wczorajsze przerywanie fal elektrycznych w telegrafie bez drutu muszą mieć z sobą jakąś łączność, że lepiej może będzie iść za zdaniem Abdula: nie zaczepiać nieznanym, a mieć się na baczności. W ten sposób łatwo będzie pokrzyżować zbrodnicze zamysły tajemniczych podróżnych względem karawany Tow. Kolonizacji Sahary, o ile tylko oni ją mają.

Trzeba będzie od dziś rozstawić wokoło obozu strażę, a nawet i rozsyłać w okolice większe oddziały celem ich przejrzania.

Zaciął więc konia i, nie czekając na zbliżenie się karawany, podążył do swoich.

Od tego dnia wokoło karawany rozstawione zostały strażę, w nocy zaś czujność podwojono.

V.

ROZBICIE POCIĄGU.

Mała, brudna wioska arabska Tugurt stanowi krańcową stację niedawno przeprowadzonej linii kolejowej z Algieru do tej pierwszej forpoczty Sahary.

Jest to prawie że ostatnia ludniejsza wioska, stanowiąca jakby przedsiónek Sahary. W okolicy znajdują się już tylko rozrzucone pojedyncze duary Arabów, zajmujących się hodowlą wielbłądów, koni, owiec i bydła.

Kursuje też na linii tej jeden pociąg dziennie, przewożący w wagonach swoich zarówno Arabów, których sprawy mnogie powołują do Algieru, jak i hodowane przez nich zwierzęta na targowiska do miast, skąd następnie okręty przewożą je do Europy, dla zaspokojenia głodu mnogich jej mieszkańców...

A barany z Tugurt oddawna słynęły ze swej dobroci, a nawet przez czas pewien modnemi były w Paryżu.

Jedyny Francuz, zawiadowca stacji, wraz z wykonywującym wszelkie podrzędniejsze czynności stróżem stacyjnym, ex-żuawem, nie wiele ma do roboty. Całe dnie też spędza na osłoniętej płótnem od żaru słonecznego werandzie stacyjnej, leżąc wygodnie w hamaku i czytając od deski do deski „Libre Parole”.

Zajęcia przy przyjęciu i wyprawieniu jedyne go pociągu na dzień niezbyt wiele zabierają mu czasu, może się też swobodnie oddawać polityce, którą uprawia z zapałem, żałując nieraz w głębi ducha, że nie jest we Francji, gdzie mógłby zostać wybranym na deputowanego do parlamentu, stamtąd zaś mógłby się dostać do senatu, skąd już krok tylko jeden do ministra, a następnie i na prezydenta Rzeczypospolitej... Ho! ho!... wtedy by dopiero pokazał świata, co potrafi...

Lecz dziś pan zawiadowca, monsieur François Duruy, w niezwykłym jest podnieceniu, nie ma ani sekundy czasu na zwykłe, a tak ulubione rozmyślenia polityczne.

Przedewszystkiem z samego rana tuż nieopodal stacji rozłożyła się obozem karawana, należąca do Tow. kolonizowania Sahary, o którym tak wiele pisały wszystkie gazety, i którym on sam tak gorąco się interesował, a która podążała tam celem wprowadzenia w czyn planów tak wielkiego człowieka i wynalazcy, jakim był ów głośny inżynier, Kazimierz Halicz.

A może i on sum wśród niej się znajduje?

Na myśl o tem, że może ujrzy z bliska tak wielkiego męża, serce monsieur François Duruy zaczynało bić silniej z radości.

Następnie zjawiło się dwóch Europejczyków w asyście trzech uzbrojonych arabów z zapytaniem o pociąg nadzwyczajny, który miał przywieźć różne rzeczy dla karawany. Po trzecie wreszcie, co najważniejsza, otrzymał wprawdzie przed kilku dniami depeszę z Algieru o wyprawieniu pociągu nadzwyczajnego, lecz do dziś dnia pociąg ten nie przybył, choć od wczoraj już powinien być na stacji. Nic dziwnego też, że te niezwykłe wypadki wykoleiły zupełnie spokojnego zazwyczaj m-r Duruy.

Biega też niespokojnie po platformie stacyjnej, z wytężeniem kierując wzrok w dal, czy nie widać tego z tak wielkiem upragnieniem oczekiwanego pociągu.

Zukosa też rzuca spojrzenia na uczestników tej tak rozgłoszonej wyprawy, którzy tymczasem ulokowali się wygodnie na werandzie stacyjnej i, zapaliwszy papierosy, cichą wiodą gawędę.

Wreszcie wstają i zbliżają się do niego z zapytaniami, co może być powodem opóźnienia.

Patrzy wzdłuż toru, lecz na błyszczącej powierzchni szyn nic widać nie było. Nawet pociągu zwykłego, który niedługo nadejść powinien. A tu ci dwaj europejczycy przynaglają go, ażeby zapytał się albo stacji centralnej w Algierze, albo też najbliższej, co słyhać z pociągiem.

Z determinacją chwycił za klucz telegrafu i wypukiwać nim zaczął systemem Morse'a następujące pytanie:

— Co słyhać z pociągiem nadzwyczajnym?

Alger odpowiedział, że wysłany został w czasie normalnym. Zatelegrafował więc do stacji najbliższej. I stamtąd nadeszła odpowiedź tej treści:

„Wyprawiony dziś w nocy z opóźnieniem trzech godzin. Normalny wyszedł przed godziną”.

Tu już do cna zgłupiał m-r Duruy.

Toż wobec tego pociąg nadzwyczajny już od dwóch godzin przynajmniej powinien stać tu, na stacji.

I nie mogąc wyjaśnić sobie tej zagadki, znów biegać poczyną niepokojnie po platformie, aby uniknąć tylko pytań tych dwóch europejczyków o pociąg. Niepokój jego udziela się i im.

— Może wypadek jaki! — rzuca wreszcie przypuszczenie jeden z nich.

M-r Duruy już ma odpowiedź, że wszelkie wypadki wykluczone są zupełnie wobec niedawnego ukończenia linii, gdy naraz coś nadzwyczajnego zwraca i przykuwa uwagę jego. Tem czemś jest olbrzymi obłok kurzawy, unoszącej się na drodze, biegnącej równoległe z linią kolejową.

Zwracają na to uwagę i obydwaj europejczycy, i po chwili oczom ich ukazuje się pędzący galopem na spienionym koniu młody arab, którego biały burnus rozwiewa się wokoło nakształ skrzydeł olbrzymiego ptaka.

Dopadł wreszcie do stacji, zeskoczył ze spienionego konia i, ledwie dysząc ze zmęczenia, skierował się w stronę pobladłego z niepokoju m-r Duruy.

— Effendi!... effendi!... — wołał przerywanym głosem: — tam... tam... cały wóz... wszystkie wozy... huk wielki... trzask... gro-gromada szczątków... pożar...

Dosłyszał te jego słowa Czesław i, dopadłszy do niego, schwycił go za ramię, pytając:

— Pociąg się rozbił?... gdzie? kiedy?

— Tam, effendi, — odrzekł młody Arab, wskazując ręką kierunek, — zaraz po wschodzie słońca. Dróżnik, effendi. zobaczywszy to, zawołał mnie zaraz i rzekł: „Siądź, Sa idzie na najszybszego ze swoich koni i pędź co sił do zawiadowcy — effendi i powiedz mu, co się stało“. Zrobiłem tak i oto jestem!

- A ludzie? — gorączkowo pytał go Czesław.

Nic więcej wydobyć z niego nie mogli. Katastrofa, której był świadkiem, tak silnie wstrząsnęła jego nerwami, że chwilami sprawiał wrażenie obłąkanego.

Widząc, że żadnych więcej szczegółów z niego nie wydostanie, Czesław wyjął zegarek. Była godzina siódma. Słońce weszło przed jakimś dwiema godzinami. Said konno mógł przez ten czas przebyć jakieś dwadzieścia kilometrów, on zaś przebędzie tę przestrzeń samochodem w kwadrans.

Nie namyślając się też długo, zwrócił się do Henryka, mówiąc:

— Pędź jak najprędzej do karawany i sprowadź tu samochód. Udamy się na miejsce katastrofy... może uda się nam uratować Stanisława. A nie zapomnij zabrać z sobą paru ślusarzy i narzędzia... mogą się nam okazać potrzebne. Spiesz się, na miłość Boską, spiesz się...

Henryk momentalnie wskoczył na siodło, i nie upłynęło nawet dziesięciu minut, gdy przed stacją zatoczył się samochód, gotów do drogi.

Zajęli w nim miejsca; nawet i Said, dygocąc coppers z przerażenia na widok nieznannej maszyny, zasiadł przy Czesławie, wskazując drogę.

Samochód mknął naprzód całą siłą motoru, to też nie upłynął nawet i kwadrans, gdy oczom ich ukazał się straszliwy widok...

Na zboczu nasypu kolejowego leżały rozrzucone szczątki rozbitego pociągu, objęte płomieniem. Około nich uwijała się gromada ludzi, wydobywając paki z towarem, ratując służbę pociągową.

W jednym z nich Czesław ku wielkiej swej radości poznał Stanisława.

Uścisnęli sobie ręce gorąco, poczem pierwszym pytaniem Czesława było:

– A służba pociągowa?... bardzo ucierpiała?...

– Jest czterech zabitych, trzech ciężko rannych, reszta poniosła lekkie potłuczenia.

– A ty, jakim sposobem ocalałeś? – pytał dalej Czesław.

– Ja ocalenie swe zawdzięczam wprost cudowi. Wszedłem z wagonu na platformę, by odetchnąć świeżym powietrzem poranku, gdy naraz usłyszałem silny trzask i poczułem chwiecie się pociągu, który raptownie się zatrzymał. W okamgnieniu zeskoczyłem, jakby instynktem wiedziony, na nasyp, a w chwilę potem pociąg cały przedstawiał już jedną olbrzymią gromadę gruzów. Zajęliśmy się zaraz z dróżnikiem i paroma ludźmi ze służby pociągowej, którzy ocalili, ratunkiem innych. Lecz niewiele, ze względu na słabe siły, zrobić mogliśmy. Na szczęście, jeden z ocalałych konduktorów okazał się felczerem, i ten zajął się opatrunkiem rannych...

– A jaka przyczyna katastrofy? – pytał dalej Czesław.

– Nie miałem jeszcze czasu sprawdzić, – odrzekł Stanisław.

Udali się więc na przód pociągu, gdzie leżała powalona na ziemi olbrzymia lokomotywa, ziejąc resztkami ognia, a tuż przy której spoczywały zwłoki ofiar obowiązku: maszynisty, pomocnika i palacza, którzy ponieśli śmierć na miejscu.

Wstąpili na nasyp i od jednego spojrzenia jawną się im stała przyczyna katastrofy. Szyny na znacznej przestrzeni były zerwane. Znać było, że dokonała tego ręka zbrodniarza. Lecz w jakim celu?... oto pytanie, które błyskawicą przebiegło im przez głowy... W jakim celu spowodowano tę katastrofę, pociągającą za sobą tyle ofiar?

Stanowiło to dla nich zagadkę, którą przyszłość dopiero rozwiązać miała.

Przywołali dróżnika i, wskazując owe szyny, Czesław zapytał:

– Czyście to widzieli?

Stanął jak słup nieszczęsny dróżnik, i, wpatrując się w szyny, z trudem wybełkotał:

– Obchodziłem... po północy... było wszystko w porządku.

– A o której stała się katastrofa? – pytał dalej Czesław.

– O czwartej minut pięćdziesiąt.

– A więc złoczyńcy dość mieli czasu dla dokonania swego zbrodniczego czynu, – zauważył Czesław, i jednocześnie przyszło mu znów na myśl pytanie, kto mógł być sprawcą tej katastrofy, i co mogło go do niej popchnąć

Bo, że nie chęć rabunku, to było widoczne... Uwijało się, co prawda, przy płonących szczątkach pociągu kilku arabów, lecz zajęci byli oni wynoszeniem z nich skrzyń i składaniem ich na boku, a więc ratowali raczej, a nie rabowali.

Mimowoli stanęła mu w pamięci owa karawana tajemnicza, którą prowadził Jussuff, a która przerywała prąd telegrafu bez drutu, chwytając wysyłane depesze... Czy czasem i między nią a tą straszną katastrofą nie zachodzi jaki bliższy związek?

Jednocześnie do uszu jego dobiegł gardłowy, jakby chrapliwy głos Abdula.

– Jussuff!.. tu... – wołał on, stając wyprężony naprzeciwko jednego z arabów, przyodzianego w biały burnus, a uwijającego się żwawo dotychczas wśród gromady innych i wydającego im rozkazy.

Teraz stał on nieruchomo, jakby zmieszany tem odkryciem, lecz w chwilę potem, wydobywszy błyskawicznym ruchem z za pasa pistolety, dał z nich strzał do Abdula, zanim ktośkolwiek spostrzec i zapobiec temu zdołał.

Zachwiał się Abdul upadł na ziemię, Jussuf zaś nachylił się nad nim, by zadać mu cios śmiertelny, lecz nie zdążył uczynić tego. W okamgnieniu, jak pantera, rzucił mu się na plecy Henryk, powalając go na ziemię.

Epizod ten spowodował radykalną zmianę na terenie rozbitego pociągu.

Prawie połowa arabów, zajętych niby to ratunkiem, wydobyła broń i rzuciła się na ratunek swego herszta. Lecz przyjęci gradem kul ze strony Czesława i jego towarzyszy, cofnęli się, kryjąc się w pobliskim lesie palmowym.

W chwilę potem znikli zupełnie, i przy rozbitym pociągu pozostała tylko garść arabów z pobliskiego duaru, patrzących na to wszystko ze zdumieniem.

Henryk, leżąc prawie na Jussufie, trzymał go mocno oburącz, obawiając się wypuścić z rąk tak cenną zdobycz.

Wił się też tenże jak wąż, usiłując się wszelkimi sposobami wydobyć z jego uścisku. Wreszcie, widząc, że tak nic nie poradzi, przekręcił w jego stronę twarz, dyszącą wściekłością, i dosięgnąwszy ręki jego, schwytał go za nią zębami.

Henryk wydał okrzyk bólu, i mimowoli puścił go tą ręką. Na to tylko czekał Jussuf. Wykręcił się, szarpnął mocno, i wyśliznąwszy się ze stalowego uścisku Henryka, jak strzała, pomknął w stronę lasku, by połączyć się z towarzyszami.

Posypał się za nim grad kul, lecz, dziwnym trafem, żadna z nich go nie raniła.

Ukryci w lasku Arabowie wystrzelili jeszcze parokrotnie, lecz, widząc, że strzały ich żadnego nie odnoszą skutku, zaprzestali strzelania.

Na placu walki zapanowała cisza, przerywana tylko cichym traskiem dopalającego się pociągu.

Czesław, zaraz prawie po upadku Abdula, rażonego kulą Jussufa, nachylił się nad nim, chcąc zbadać stan rany.

– Nic... to nic... effendi, – uspokoił go tenże, – przestrzelił mi ramię... zagoi się niedługo... tylko trzymajcie go... trzymajcie... zastrzelić go trzeba, jak psa wściekłego, żeby nam więcej nie szkodził... nie można go puszczać żywym, gdyż jeszcze więcej szkodzić nam będzie, mszcząc się za zawód.

Wykrzywiły mu się też usta wściekłością, gdy ujrzał uchodzącego wroga. Ostatnim wysiłkiem sięgnął po pistolet i zdrową ręką wystrzelił w ślad za nim... lecz i jego kula chybiła.

Ranna ręka zawiodła... drgnęła, i kula przebiegła nad głową uchodzącego właśnie w chwili, gdy krył się wśród drzew lasku palmowego.

Teraz, po zdemaskowaniu Jussufa i jego bandy, stało się zupełnie jasnym, że udział w tej katastrofie mieć musieli uczestnicy zagadkowej karawany, że zniszczenie wiezionych pociągiem części maszyn leżało w ich planie.

Natychmiast też wrócił Czesław z Henrykiem i Stanisławem do pak uratowanych, i zgodnie ze spisem, posiadanym przez tegoż, sprawdzać je poczęli. Okazało się, że prawie połowa pak, zawierających najcenniejsze części maszyn, padła ofiarą pożaru i rozbicia...

Dokonawszy tego, poczęto radzić, co robić? Narada trwała krótko. Ocalałe paki miał zabrać z sobą Czesław i przyłączyć do karawany... Stanowiło to tylko kwestję kupna wielbłądów. Stanisław zaś natychmiast wracać miał koleją do Algeru i stamtąd dopiero porozumieć się z Kazimierzem Haliczem co do zastąpienia zniszczonych części na nowe. Dostawione one już miały być z resztą maszyn i przyrządów, które nadejść miały za dwa tygodnie, i z którymi na teren robót przybyć miał sam główny kierownik i inicjator.

Przystąpiono wnet do wykonania tego planu. Czesław zwrócił się do dróżnika z zapytaniem, gdzieby mogli znajdować się arabowie, od których możnaby było nabyć wielbłądy, i którzyby podjęli się przewiezienia skrzyń do obozu.

Said wnet pomknął do swego duaru, obiecując za godzinę przyprrowadzić żadaną ilość wielbłądów, a tymczasem nadszedł pociąg, opóźniony znacznie, a dążący do Tu-gurt...

Służba pociągu tego, widząc, że nie można nawet marzyć o podążaniu dalej, postaru, samym zaś podążyć z powrotem do Algeru.

Nieliczni podróżni, radzi nie radzi, wysiąść musieli z wagonów i innymi sposobami dostać się do Tugurt, w opustoszałych wagonach lokowano tymczasem rannych, zajmowała w nich miejsca służba rozbitego pociągu, i wreszcie, gdy już maszynista dawał sygnał do odjazdu, wskoczył do niego Stanisław, pożegnany serdecznie przez Czesława i Henryka. Pociąg odjechał.

Przy dopalających się szczątkach rozbitego pociągu pozostał tylko Czasów i jego towarzysze oraz dróżnik, rozpaczający nad swą nieuwagą, widział, że stał się mimowolnym sprawcą katastrofy.

Nadciągnęli wreszcie i arabowie z wielbłędami, przyprowadzeni przez Saida.

Umowa z nimi nastąpiła szybko. Zgodzono się z łatwością co do ceny i wnet przystąpiono do ładowania skrzyń na garbate, łagodne stworzenia.

Nie upłynęły nawet i trzy godziny, gdy wyciągniętym sznurem podążyły w stronę stacji Tugurt obładowane skrzyniami i prowadzone przez przewodników wielbłądy, a za nimi powoli zdążał samochód, wiozący rannego Abdula, któremu naprędce opatrzono ranę...

Chyliło się już słońce ku zachodowi, gdy połączyli się z resztą karawany, oczekującą na nich niecierpliwie.

Abdulem zaopiekował się zaraz jeden ze starszych z jego drużyny, cieszący się sławą biegłego lekarza, Czesław zaś z Henrykiem i paroma z pośród starszych pracowników, przybyłych z Europy, odbył naradę co do dalszego postępowania.

Kwestja ta była bardzo ważną, wobec jawnego już występowania jakichś wrogich jednostek.

Rozprawiano też nad nią gorąco. Stawiano przeróżne wnioski i projekty, które kolejno ulegały rozpatrzeniu, i w końcu zostawały odrzucone, aż wreszcie zdecydowano puścić się w drogę natychmiast, od rana, bez najmniejszej zwłoki, przyczem i dzień, i noc miały być wokoło obozu rozstawione warty, których zadaniem było pilnować go przed niespodziewanym napadem. Niezależnie od tego, wszyscy mieli być w pogotowiu zbrojnym, by każdej chwili móc schwytać za broń dla obrony karawany.

Postanowienie to wprowadzono natychmiast w czyn, przyczem dowództwo nad arabami, zamiast rannego Abdula, objął jego bratanek Dżemil.

Wszyscy arabowie raz jeszcze złożyli Czesławowi zapewnienie swej wierności i oddania się, przysięgając na Mahometa, iż raczej życie odda



Wielbłądy wyciągniętym sznurem podążyły
w stronę stacji Tugurt.

się miała jakaśkolwiek krzywda.

Abdul przysięgę tę ich potwierdził, zapewniając uroczyście Czesława, że może im w zupełności ufać, że wszyscy oni pałają gorącą nienawiścią do zbrodniczego Jussufa, i że każdy z nich, w razie spotkania, wypali mu w łeb, jak psu podłemu, z wielką przyjemnością.

Zapewnienia te uspokoiły bardzo Czesława, i ze swej strony zapewnił arabów, że po przybyciu na miejsce czeka ich sowita nagroda za ich wierność...

Liczba członków karawany powiększyła się również o sześciu Arabów z duaru, którzy zająć się mieli opieką nad wielbłędami, oraz o małego Sa-ida, który tak gorąco prosił o zabranie go na wyprawę w głąb pustyni, że Czesław uległ jego prośbom i zaliczył go do konwoju.

Uradowany chłopak uwijał się na swym małym berberyjskim koniku wokoło karawany, grożąc, że każdego napotkanego nieprzyjaciela zabije z małego karabinka, w jaki go uzbrojono.

VI

OAZA SIMREH.

Cicha spokojna oaza Simreli, położona u stóp wyżyny Ahaggar, zawrzała życiem.

Splątani mieszkańcy jej, lęklive antylopy, rzuciły się do ucieczki, lecz niedaleko odbiegły – wszystkie padły pod morderczymi kulami przybyszów.

Potężny lew, król pustyni, który do źródła, płynącego w cieniu palm, przychodził gasić pragnienie, z głuchym porykiem cofnął się, i on, który nie znał co to trwoga, uciekł tchórzliwie, ginąc w bezbrzeźnych piaskach pustyni, uchodząc przed ludźmi, się pokazywali, a którzy śmierć na końcu broni swej nieśli.

A tymczasem w oazie gwar panował i hałas... Człowiek objął ją w swoje władanie...

Pokazywał, iż jest jej panem i władcą, że nic mu oprzeć się zdoła... że wszędzie, gdzie się pokaże, niesie swą wszechmocną wolę, a zarazem śmierć i zagładę dla wszystkich niższych i słabszych istot.

Olbrzymia karawana, tak olbrzymia, że aż palmy z podziwem na nią patrzyły, nie pomnąc podobnej od czasu swego istnienia, rozłożyła się w niej obozem.

I to rozłożyła się nie na krótko, nie na odpoczynek czasowy, by po nabraniu sił w dalszą puścić się drogę... O nie!... Rozpięto namioty, wyładowano skrzynie, obciążające wielbłądy, i wreszcie po paru dniach odeszły i one, wraz z przewodnikami swymi w powrotną udając się drogę, a hałaśliwa gromada ludzka pozostała na miejscu, w oazie, rozlokowując się w niej tak, jakby nigdy opuścić jej nie miała zamiaru.

Kazimierz Halicz, który w czasie licznych wędrówek swoich poznał Saharę dokładnie, obrał oazę tę za podstawę do swej działalności.

Stamtąd miało się rozpocząć wprowadzanie w czyn dzieła jego; z niej to, jak od głównego słońca – rozchodzić się miały pierwsze twórcze promienie życiodajnej siły...

Ona to miała być tą pierwszą placówką, której forpoczty coraz głębiej i głębiej sięgać miały w pustynię, zagarniając ją coraz bardziej i bardziej we władanie swoje, aż wreszcie cała ulec miała wszechmocnej woli człowieka. Z tego punktu miał on rozpocząć swą władzę nad nią.

Czesław Halicz po rozłożeniu się obozem natychmiast zabrał się do czynu. Jedną z najpierwszych i najważniejszych rzeczy było – wiercenie całego szeregu studzien artezyjskich, studzien, które miały zaopatrzyć w wodę całą świeżo powstającą kolonję, a zarazem i zraszać okoliczne przestrzenie, przeznaczone pod uprawę.

Tu połączyć się musiało działanie dwóch sił: elektryczności i wody, ażeby poruszyć jałowe piaski, ażeby zmusić je do dawania płodów.

Do czynności tej zabrano się natychmiast po rozłożeniu obozu. Puszczono w ruch świder, który z cichym zgrzytem zanurzył się w piasku, zapuszczając się coraz głębiej i głębiej...

Praca trwała dzień cały. Nie była ona zbyt trudną i ciężką, gdyż nie natrafiano na żadną przeszkodę w postaci skały lub warstwy kamienia, a robotnicy w czynności swej wielką posiadali wprawę.

Wreszcie z ust ich wydarł się okrzyk radości i triumfu. Z założonej rury wytrysnął snop czystej jak kryształ wody, roztryskując się miljonem kropli, błyszczących jak brylanty w przestrzeni.

Praca nie przedstawiała się tak trudną, jak na pozór wydawać się mogło. Woda nie znajdowała się tak głęboko, jak przypuszczano, i system irygacyjny, jaki zamierzano przeprowadzić, wykonany mógł być z łatwością.

Po wywierceniach jednej studni przystąpiono zaraz do pracy przy innych, ograniczając się na razie czterema, z których woda potrzebną była na użytek obozu.

Po dokonaniu tego dopiero przystąpił Czesław Halicz do badań geologicznych, mających na celu przede wszystkim odnalezienie pokładów węgla, tak niezbędnego do puszczenia w ruch maszyn.

Przy pomocy Henryka i paru innych pracowników dokonał całego szeregu wierceń, ażeby przekonać się, jak głęboko pod ziemią owe pokłady znajdować się mogą.

W czasie tego pozostali robotnicy, pod kierunkiem pana Józefa, zajęci byli wznoszeniem budowli na pomieszczenie maszyn i przyrządów.

Dzień cały wrzała tam praca... spokojna, wytrwała praca, mająca na celu zdobycie dla ludzkości nowych terenów pracy; w skupieniu, wytrwale, wprost z zapałem oddawali się wszyscy swemu zajęciu.

To też wszystko szło pomyślnie. Jeden budynek stawał za drugim, a za materiał służyło przywiezione drzewo oraz blachy aluminiowe.

Oaza powoli zmieniała swój wygląd, stawała się podobną do małego miasteczka, w którym się budzić poczyna ruch przemysłowy. Złudzenie to podtrzymywały snujące się wszędzie gromady zasmolonych przy pracy robotników oraz Arabowie, w swych białych burnusach podobni do bab przekupek, w białe chusty owiniętych.

Przystąpiono wreszcie do składania maszyn, przynajmniej tych, których części przywiozła z sobą karawana. Pozostałe, a najważniejsze, złożone być miały dopiero po przybyciu drugiej karawany, wraz z głównym kierownikiem Kazimierzem Haliczem.

Czesław Halicz pracował gorączkowo. Był wszędzie obecny, doglądał wszystkiego, wydawał rozkazy, kierował robotą, a niejednokrotnie i sam przykładał ręce do pracy.

Od poszukujących świdrem pokładów węglowych biegł do składających maszyny i wznoszących budowle, to znów odwiedzał stację telegrafu bez drutu, by dowiedzieć się, czy niema jakiej nowej depeszy z Europy lub Algeru, lub też wysłać tamże telegraficzne sprawozdanie o postępie robót, lub też odwiedzał rannego Abdula, którego rana goiła się zupełnie dobrze i rokowała rychłe wyzdrowienie.

Rwał się też i on do czynu, co dzień prawiąc długie kazania Dżemilowi o bacznym pilnowaniu obozu.

Depesze z Algeru przychodziły codziennie, a nawet i dwa razy dzienne.

Z nich też dowiedział się, że zniszczenie części maszyn przy rozbiciu pociągu i potrzeba robienia ich na nowo, opóźnią jeszcze o dwa tygodnie przybycie na teren robót Kazimierza Halicza; że akcje Tow. kolonizacji Sahary są już rozchwywane i stoją bardzo wysoko; że karawana z wielbłędami przybyła już do Algeru i czeka, nabierając nowych sił, na świeży ładunek, by odbyć powrotną drogę do oazy Simreh; wreszcie, że Kazimierz Halicz wyruszy wkrótce z Paryża, i że towarzyszyć mu będzie w podróży główny akcjonariusz milioner Leblanc.

Przeczytawszy tę depezę, zawołał uradowany:

– Wiwat!... niedługo zaczniemy pracę na dobre!... – a zwracając się do Henryka, dodał:

– Wiesz co, mój kochany, że byłoby bardzo dobrze urządzić stryjo wi jaką niespodziankę na jego przyjęcie.

– Ale jaką? – spytał Henryk.

– Poleć przyspieszyć wiercenie, – odrzekł Czesław, – odnalezienie pokładów węgla będzie dla niego prawdziwą i miłą niespodzianką...

Zabrano się więc energicznie do pracy. Robotnicy z wytężeniem sił dokonywali wierceń, aż wreszcie tegoż samego dnia, gdy Czesław otrzymał od stryja depezę następującej treści:

„Wyjeżdżamy jutro wszyscy. Kazimierz Halicz“, – mógł mu nawzajem odtelegrafować:

„Znaleźliśmy węgiel na głębokości 60 stóp. Pokład gruby. Gatunek wyborowy”.

Pomimo gorączkowej pracy, pochłaniającej wszystkie chwile, nie zapomniał Czesław i o bezpieczeństwie obozu. Całe dni i noce krążyły wokoło oddziały jeźdźców arabskich pod wodzą Dżemila, pilnując baczenie wszystkiego i zapuszczając się nieraz i w dalsze okolice.

Niepokoilo go zwłaszcza zniknięcie bez śladu owej tajemniczej karawany, pozostającej pod wodzą Jussufa.

Od czasu rozbicia pociągu nie było jej nigdzie widać, choć mnogie ślady i poszlaki dawały poznać, iż krążyła ona w pobliżu. I, co najdziwniejsza, komunikacja telegrafem bez drutu z Algierem nie była ani razu przerwana...

Właśnie ten dziwny spokój i cisza drażniły go niepomierne. Co one oznaczać mogą? O tem, ażeby tajemniczy wróg zaniechał swych złowrogich planów przeciwko nim, ani myślał. Przeciwnie, przypuszczał, że ukryty w cieniu, pocichu knuje on jakieś złowieszcze zamysły, które nagle ujawnione, wielką i niepowetowaną krzywdę pracy ich wyrządzą.

To ciągłe napięcie nerwów w oczekiwaniu czegoś niespodziewanego, co nagłym ciosem spaść miało na niego, doprowadzało go do jakiegoś dziwnego stanu nerwowego podniecenia, dochodzącego wprost do chorobliwości.

A tymczasem prace w oazie rosły. Olbrzymia wieża, mająca mieścić maszyny i motory elektryczne, coraz bardziej wznosiła się do góry... Prace odbywały się pośpiesznie, wykończano je na gwałt, jakby chcąc, by na przyjęcie Kazimierza Halicza wszystko gotowe było. By on, po przybyciu swoim, musiał tylko nadać temu wszystkiemu ruch, jakby tchnąć w te nieruchome maszyny życie, które szeroką falą rozlać się miało wokoło, niosąc swe owocodajne prądy wszędzie, wszędzie, we wszystkie zakątki piaszczystej Sahary.

Ukończono też prawie wszystko, a on jeszcze nie nadjeżdżał.

Pochłonięty ważnemi interesami, a przytem sam osobiście dozorcą wykończenia niektórych części maszyn najbardziej precyzyjnych i najważniejszych, opóźnił swój przyjazd, przebywając jeszcze w Paryżu i komunikując się tylko z panem Erazmem, który znów wiadomości te przysyłał do oazy Simreh.

Wreszcie nadeszła nowa depesza, że Kazimierz Halicz wyjeżdża z Paryża z kompletnym już ładunkiem maszyn i przyborów, potrzebnych do urządzenia grodu elektrycznego. Tymczasem wyjazd nastąpił naprawdę.

Czesław obliczył czas, jaki ewentualnie potrwać może ta podróż i wobec tego, że wszystkie roboty zakończone, postanowił użyć go na rozrywki oraz na wycieczki do nieopodal leżącej grupy oaz...

W towarzystwie więc Abdula, który już zupełnie przyszedł do zdrowia, Saida i dwóch arabów z eskorty oraz dwóch Europejczyków z pośród rzemieślników, zapuszczał się coraz dalej i dalej, polując na napotkaną po drodze zwierzynę...

Plony tych łowów właściwie były świetne, gdyż od strzałów karabina jego i towarzyszków padały przeważnie zwierzęta drapieżne, podczas, gdy lęklive a prześliczne antylopy uchodziły bezkarnie z przed ich luf.

W czasie tych wycieczek nieraz też zetknęli się z lwem, królem pustyni.

Stawał on naprzeciw nich, mierząc ich płomiennym wzrokiem i bijąc się potężnym ogonem po bokach, jakby gniewny, że wdarli się w posiadłości jego, gdzie wszystko władzy i potędze jego ulegało.

Gniewny szykował się do skoku i rzucał się na nich, lecz przyjmowały go wnet kule z karabinów myśliwców, i rażony nimi śmiertelnie, padał na ziemię, rycząc głucho.

Lecz razu pewnego spotkanie takie o mało co nie przybrało tragiczniejszego zakończenia...

Czesław, chcąc obejrzeć jedną z dalej położonych oaz, udał się tam samochodem w towarzystwie tylko Saida i Stefana, ślusarza z Warszawy, którego los aż do Paryża, a stamtąd na Saharę zagnał...

Przejechali pół drogi, i minęli już wielkie złomy skaliste, sterczące na pustyni, gdy naraz rozległ się głuchy krzyk siedzącego w tyle samochodu Saida, a następnie trzask jakiś, szarpnięcie silne, tak jakby samochód w drodze swej natknął się na jakąś przeszkodę...

Obejrzeni się, i z ust ich wyrwał się krzyk przerażenia. Na samym tyle samochodu siedział potężny lew, i drapał pazurami po osłaniającej go blasze, pragnąc rozerwać ją, by dostać się do siedzącego tamże Saida.

Gruba blacha pancerna stawiała jednak opór usiłowaniom jego.

Czesław Halicz i towarzysz jego ani na chwilę nie stracili zimnej krwi. W okamgnieniu, jak na komendę, wydobyli z kieszeni rewolwery ostatniego systemu, i mierząc w łeb potężnej bestji, wystrzelili jednocześnie.

Rażone śmiertelnie zwierzę puściło się pazurami samochodu, zatoczyło i runęło na piasek pustyni, brocząc go krwią swą obficie.

Westchnienie ulgi wyrwało się z piersi obydwóch młodych ludzi.

– No! – zawołał Czesław Halicz, obcierając chustką czoło obficie zroszone, – żeby nie nasze brauningi, miałyby ten lewek z nas ucztę nielada.

Zatrzymali samochód, i w towarzystwie trzęsącego się ze strachu Saida podeszli do rozciągniętej na piasku, martwej już bestji...

Był to okaz naprawdę olbrzymi... Potężne łapy, uzbrojone pazurami, wysunął naprzód, jakby chcąc rozszarpać nawijającą mu się pod nie zdobyecz, oczy żółte, olbrzymie, zachowały wyraz ponurego gniewu, a wyszczerzone zęby zdawały się grozić śmiałkowi, który odważyłby się podejść zbyt blisko.

– Stary już, – zauważył Stefan, – samotnik... Nic dziwnego też, że napadł na nas... O ile czytałem, to tylko lwy stare, krążące pojedynczo, mają w sobie tyle odwagi. Młodsze, a zwłaszcza nie same, są znacznie tchórzliwsze.

– Trzeba go będzie zabrać na pamiątkę, – rzekł Czesław, – skórę ma ładną. Będzie z niej piękny dar dla dziadka Erazma.

Przy pomocy Stefana i Saida martwego lwa władowali na samochód i pomknęli dalej, do widniejących w oddali palm oazy.

Lecz nie na tem był koniec przygód ich dnia tego.

Do oazy dotarli wkrótce, i wjechawszy tam, w cień rozłożystych, wachlarzowatych palm, zatrzymali samochód, i wysiadłszy z niego, szukać poczęli sączącego się wśród piasku źródła, by ugasić pragnienie, które ich dręczyć poczynęło.

Naraz do uszu Czesława dobiegł głos jakiś... głos jakby wzywający pomocy... jakby kwilenie jakieś...

Zatrzymał towarzyszków i zaczął nasłuchiwać. Głos ten powtórzył się znowu.

– To tam... tam... – rzekł, wskazując kierunek, – biegnijmy... Może potrzebną jest tam pomoc nasza.

I nie namyślając się długo, porwany pierwszym impulsem, pobiegł w tamtą stronę, a za nim Stefan i Said.

Nie potrzebowali biec daleko... Na drugim końcu oazy wznosiła się uboga chatka arabska, wzniesiona z liści palmowych, a przed nią leżały ciała dwojga Arabów, mężczyzny i kobiety, w krwią zbroczonych burnusach... Tuż przy nich siedziała na ziemi mała, może dziesięcioletnia dziewczynka, owinięta w białą płachtę, i z wzrokiem utkwionym w twarze martwych rodziców od czasu do czasu wydawała ów głos pełen żałości.

Ucichła dopiero przerażona, jakby zdrętwiała, wpatrywała się w postaci biegnących jej na ratunek ludzi.

Przerażenie jej jeszcze więcej potęgowało to, że ludzi ci byli zupełnie różni od tych, których dotychczas widywała, że niczem prawie nie przypominali postaci, do których przywykło jej oko...

Czesław przedewszystkiem nachylił się nad zwłokami pomordowanych, ażeby przekonać się, czy nie tli się w nich jeszcze choć iskierka życia.

Said tymczasem wszedł do chatki i na widok panującego tam nieładu, zawołał:

– To czyn Tuaregów... oni musieli to zrobić... Wywieźli się widać jakoś, że mieszkańcy tej oazy posiadają coś cenniejszego i napadłszy na nich, ograbili i zamordowali.

– Trzeba się zająć pogrzebaniem ich i zabrać tę małą do obozu, gdyż inaczej może tu, w pustyni, umrzeć z głodu... – zawołał Stefan.

– Eh, effendi, – odrzekł mu Said, sceptycznie machając ręką, – te dzieci pustyni w oazie nigdy nie zginą. Toż ona dla nich jak matka. Palma nakarmi, źródło napoi i wszystko dobrze... Lecz wola twoja, effendi...

Czesław nachylił się nad małą, pytając ją po arabsku o imię jej, a zarazem żądając opisu przebiegu całego zajścia.



Do oazy dotarli wkrótce..

Milczała ona jednak, wielkie płomienne dzikie oczy utkwwszy w jego twarzy...

– Effendi! – zawołał Said, – pozwól, ja z nią pomówię. Mnie ona opowie wszystko...

I zbliżywszy się do dziewczynki, żywo zaczął jej coś tłumaczyć, dopomagając sobie gestykulacją rąk. Dobił się wreszcie tego, że powiedziała mu, że nazywa się Ala, że na dom ich napadła gromada Tuaregów, którzy krzyczeli o coś na ojca, obrabowali potem chatę, zabrali różne przedmioty, zamordowali rodziców i odjechali... Stało się to wszystko przed wschodem słońca...

Wysłuchali tej opowieści, poczem Czesław rzekł, zwracając się do Stefana:

-- Mój kochany, proszę cię, przejdź do auta, przynieś cokolwiek, coby nadało się do wykopania mogiły dla tych nieszczęśliwych. Trzeba pogrzebać ich uczciwie, a oaza ta. w której lat wiele zapewne przeżyli spokojnie, stanie się ich grobowcem...

Stefan posłusznie udał się, by wykonać to polecenie, a tymczasem Czesław z Saidem zajęli się Alą...

Said zręcznie, jak kot, wdrapał się na palmę i narwał z niej daktyli, Czesław przyniósł wody z płynącego nieopodal źródła. Nakarmili Alę, napiili, i już mieli zawijać w burnusy, jak w całuny, ciała zamordowanych, gdy naraz do uszu ich dobiegł krzyk jakiś, jakby wołanie Stefana.

Musiąo zająć coś naprawdę ważnego, gdyż donośnym głosem wzywał on ich pomocy...

Rzucili wszystko i czem prędzej pobiegli w tym kierunku... Stefan stał sam, na skraju oazy, a auta wcale widać nie było...

Dopadli do niego i Czesław gorączkowo spytał:

– Gdzie jest samochód?

– Niema go... niema, – odpowiadał jakby nieprzytomnie Stefan, a jednocześnie wskazywał im ręką na ziemię.

Na piasku pustyni wyraźnym był ślad kół samochodu, który w tem miejscu skręcił.

Ślad ten biegł hen! w dal i ginął w pustyni...

VII.

SAMI W OAZIE...

Stali jak wryci, nie mogąc przemówić ani słowa.

To tajemnicze zniknięcie auta, ten siad tak zagadkowy, a przytem tak wymowny – raziły ich, jak gromem.

Co teraz robić?... oto pierwsze pytanie, jakie przyszło na myśl Czesławowi.

Puszczając się w pogoń za uchodzącym samochodem, poszukiwać go w bezbrzeżnych, zda się, obszarach pustyni, wydawało się im absurdem, niemożliwym do wykonania.

Toż samochód biegł z szybkością 90 mil angielskich na godzinę, a oni, pieszo, nawet i jednej dziesiątej tego nie zrobią...

Pościg więc za nim był niemożliwy, zwłaszcza, że ci, co go wykradli, zapewne dobrze nim kierować umieli.

Trzeba się więc było wyrzec tej myśli, ażeby dogonić i odzyskać samochód, stanowiący jedyny ich łącznik z obozem i ze światem...

Musieli więc pozostać w oazie, przykuci do niej koniecznością, i czekać cierpliwie, aż z jawi się im pomoc, czy to w postaci przechodzącej przez pustynię karawany, czy też ze strony opuszczonego przez nich obozowiska...

Wszakżeż tam spostrzegą ich zniknięcie, i Henryk, któremu dobrze był znany kierunek, w jakim się udali, nie omieszka, w razie dłuższej ich nieobecności, podążyć im z pomocą...

Pierwszy krew zimną i spokój odzyskał Czesław.

– Trudno, – rzekł, zwracając się do Stefana i Saida, – nie wrócimy go i nie odbierzemy. Tajemniczy złoczyńcy znajdują się już napewno bardzo daleko stąd, tak że o doścignięciu ich i odebraniu samochodu siłą, nie mamy nawet co i marzyć... Musimy zatem siedzieć tu, w oazie, i czekać, aż zjawi się nam jaka pomoc. Na szczęście palmy dostarczą nam

żywności, a strumień – wody, nie zginiemy zatem ani z głodu, ani z pragnienia. A przypuszczam, iż Henryk, spostrzegłszy, że nie wracamy zbyt długo, obmyślił dla nas sposób ratunku i przybędzie z pomocą... Nie traćmy więc otuchy. Wracajmy do chatki i zajmijmy się pogrzebaniem zwłok tych nieszczęśliwych oraz małą Alą.

Słowa te jego uspokoiły Stefana i Saida, zawrócili więc i skierowali się w stronę zburzonego szałas.

Tam przy pomocy kawałka deski wykopali dół, w którym pogrzebali zwłoki obydwójga Arabów, poczem, posiliwszy się nieco, nakarmili małą Alę, i znużeni przejściami dnia całego, położyli się, by spocząć przez chwilę...

Mała Ala nie spała...

Nieufnie patrząc na nich, siedziała na pagórku, stanowiącym mogiłę jej rodziców, i szeroko rozwartymi oczyma wpatrywała się w tych, którzy stali się jej opiekunami.

Tak przesiedziała noc całą, jakby na straży...

Z pierwszym brzaskiem dnia, najprzód przebudził się Said. Zerwał się, przetarł oczy, i odmówiwszy przepisane przez Koran modlitwy, z nadzwyczajną zręcznością wdrapał się na najbliższej stojącą palmę, i szybko zrywać z niej począł owoce.

Ala przyglądała mu się przez chwilę, wreszcie jakby błysk wesela ukazał się w jej oczach. Zerwała się z mogiły rodziców, i smukła, zwinna, gibka, jak młody kociak, wdrapała się na pień drugiej palmy, i wkrótce tych dwoje dzieci pustyni siedziało na-wprost siebie, rwąc daktyle, jakby rywalizując z sobą...

Na widok ten wybuchnął on śmiechem, na co odpowiedzią była mu kaskada śmiechu ze strony dziewczyny-dziecka.

Narwali wreszcie dostateczną ilość, zeszli z palm i już w najlepszej komitywie zabrali się do przyrządzania śniadania dla obydwóch Europejczyków.

Mile też zdziwił się Czesław, gdy po przebudzeniu zauważył tę ich zgodę i porozumienie.

Wstał, podszedł do Al, chciał ująć ją za ramię i przemówić słów parę, lecz dziecko szarpnęło się, odskoczyło w bok i odwróciwszy się tyłem, ponury wzrok utopiło w ziemi...

Dopiero, gdy Said, podszedłszy do niej, zaczął jej coś tłumaczyć i objaśniać, z większą już ufnością spojrzała na niego i nie boczyła się tak...

Na zapytania jednak jego nie dawała mu żadnej odpowiedzi...

Zamknęła się w uporczywym milczeniu, jakby chcąc dowieść tym ludziom, obcym jej i krwią, i pochodzeniem, i wszystkim, że nic ich z sobą nie łączy, że obcymi są sobie, i że nigdy zaufania jej, dziecka pustyni, nie zdobędą...

Czesław też, rozumiejąc dobrze i odczuwając stan jej psychiczny, nie zaczepiał jej więcej, zwracając się tylko do Saida, który znów ze swej strony porozumiewał się z Alą.

W ten sposób służył on za pośrednika między nią a Europejczykami.

Dzień cały zeszedł im na bezczynności. Zwiedzili tylko oazę, lecz był wiele nie mieli tam do oglądania... Kilkanaście palm, wysmukłych, o bujnych koronach liści, oraz zdroj, cicho wytryskający z pośród piasku 86 pustyni u podnóża jednej z palm, przepływający kilka metrów i ginący następnie znów w piasku, — oto wszystko, co było do obejrzenia...

Nawet polować nie mieli na co, gdyż ani zwierzyna, ani ptak żaden nie ukazały się.

Cisza tylko, absolutna cisza, niczem nie przerywana, panowała wokoło...

Nie mając nic do roboty, przeleźli dzień prawie cały, gawędząc o różnych rzeczach, przypominając sobie dawne dzieje, jeszcze z czasów pobytu w kraju.

Stefan, dziecko Warszawy, której zakątek każdy dobrze był mu znany, opowiadał o niej Czesławowi, który znów nigdy tam nie był. Dzieckiem wyjechawszy z kraju, lata młodzieńcze spędził na wędrownie, tęskniąc tylko za krajem, chciwie pochłaniając podawane przez gazety wiadomości o nim. Słuchał też z zajęciem tej opowieści, słuchał, jak baśni o czemś drogiem bardzo, ukochanem.

Mała Ala z Saidem, żyjący w najlepszej komitywie i porozumieniu, ze swojej strony znów zajmowali się gospodarstwem. Zrywali daktyle, przynosili wodę ze źródła, usługiwali...

Tak zeszedł im czas do wieczora.

– No, – rzekł Czesław, układając się do snu, – jutro o tej porze powinni nam przyjść z pomocą. Jeżeliby nasz pobyt miał potrwać tu dłużej, to możnaby się wściec z nudów...

Usnęli zaraz, jak spali długo, trudno byłoby określić. Zmrok nocy jeszcze panował, gdy naraz Czesław poczuł dotknięcie czyjejś ręki na ramieniu. Obudził się zaraz, porwał z miejsca, przetarł oczy i ujrzał przed sobą stojącą Alę.

Owinięta w biały burnus, w bladym świetle księżycy wyglądała jak mały duszek.

Szarpnęła go za ramię i cicho szeptała:

– Effendi! wystawaj! oni... oni...

I oczy jej z wyrazem bezgranicznego lęku wpatrywały się w przestrzeń.

A lęk ten musiał być potężny, olbrzymi, kiedy zdołał przewyciężyć obawę, jaką ją przejmowali obydwaj Europejczycy.

Czesław w jednej chwili porwał się na nogi i nasłuchiwać począł.

Zrazu nic nie mógł dosłyszeć. Lecz nadzwyczaj delikatne ucho dziecka pustyni słyszało wyraźnie odgłosy stąpania, skrzyp piasku pod stopami zbliżających się ludzi.

Wskazała mu gestem, by położył się na piasku i ucho do niego przypod stopami zbliżających się ludzi. Wskazał mu gestem, by położył się na

jej. Wyciągnął się jak długi i, przylgnąwszy uchem do ziemi, nasłuchiwał...

Zrazu nic nie słyszał, lecz wreszcie, po pewnym czasie dobiegł do uszu jego jakby skrzyp piasku, uginającego się pod ciężarem nóg koni i wielbłądów.

Instynktownie prawie przeczuł niebezpieczeństwo i w jednej chwili pomyślał o obronie... Po cichu zbudził Stefana i Saida, i w paru słowach

powiadomiwszy ich o grożącym niebezpieczeństwie, nakazał przyszykować broń do odparcia przypuszczalnego napadu.

Nie był pewien jeszcze, kto to być może. Czy byli to napastnicy, ci sami, co zabrali samochód, co wymordowali rodzinę arabską?

Czyżby przybywali, by dokonać dzieła rabunku, i pomordowawszy ich, zagrabić im wszystko, a zwłaszcza broń, broń, na którą zawsze z chciwością rzucają się pierwotne dzieci pustyni, a która zawsze łakomą dla nich zdobycz stanowi.

A może to była spodziewana i tak oczekiwana pomoc?

A może była to jaka karawana kupiecka, dążąca z towarami w głąb pustyni, od oazy do oazy, a która się wybawczynią ich stać miała?

Lecz co do tego miał pewne wątpliwości. Drugim samochodem karawana nie rozporządzała, a na koniach i wielbłądach nie zdążyliby przybyć w tak krótkim przeciągu czasu.

Co do karawany, również było i to problematycznym wielce... Szlak ten nie był tak często nawiedzany przez wielkie karawany, które miały inną drogę, więcej uczęszczaną i daleko większą przedstawiającą bezpieczeństwo.

Oaza ta, zdaje się, należała do rzędu omijanych stale przez wielkie karawany, a z odgłosu, niesionego przez piasek pustyni, ła-iwo wywnioskować można było, iż liczba zbliżających się ludzi jest bardzo znaczną...

Zresztą instynkt AI, tak silnie rozwinięty zazwyczaj w dzieciach pustyni, wyraźnie wskazywał, że byli to „oni“, ci sami, od których ciosów zginęli jej rodzice, a którzy w pamięci jej utkwili na zawsze...

Szeptem więc naradzać począł się z towarzyszami, co czynić, i wynikiem tego było, że postanowili usunąć się w głąb oazy, przypuszczając zupełnie słusznie, że napastnicy cały impet swego napadu skierują na chatkę, gdzie, jak przypuszczają będą, znajdą oni schronienie.

A tymczasem, ukryci z boku, za pniami palm, będą mogli przyjąć ich ogniem i rozproszyc...

Zdecydowali się pierwsi zaatakować przeciwników, pewni, że właśnie tem niespodziewanem natarciem zdołają zmusić do cofnięcia się

nieprzyjaciela, liczącego na to, że zostanie ich nieprzygotowanymi do walki, że zaskoczy ich zniecacka i z łatwością dokona swego...

Projekt ten z ogólnem spotkał się uznaniem, i wnet przystąpiono do jego wykonania, ażeby nie stracić ani chwili drogiego czasu...

Mając w środku małą Alę, cofnęli się prawie na sam kraniec oazy i tam ukryli się za wałem, wzniesionym z piasku, nawianego przez wichry pustyni. Od biedy stanowić to mogło niezgorszą zasłonę przed strzałami przeciwników.

Teraz już odgłos stąpań kopyt końskich słyhać było wyraźnie.

Said, który nasłuchiwał bacznie, podniósł głowę do góry i szepnął:

— Trzy razy po dziesięć.

A więc z trzydziestu przeciwnikami mieć będą do czynienia. I to z przeciwnikami uzbrojonymi należycie, zaciętymi, gotowymi walczyć do ostatniego tchnienia w piersi, lekceważącymi sobie życie i swoje, i tych, których atakowali. Sytuacja niezbyt wesoła i przyjemna. Na szczęście ich karabiny magazynowe były najnowszego systemu i zaopatrzone w poważny zapas nabojów.

— Strzelać celnie, — rzucił szeptem rozkaz Czesław, — a zwłaszcza w konie.

Napastnicy tymczasem zbliżali się już o tyle, że uznali, iż dalsze ukrywanie się będzie zupełnie bezcelowe.

Z głośnym krzykiem i wyciem pomknęli naprzód i jak huragan wpadli na chatkę.

Rozległ się huk strzałów, a wnet potem okrzyk zawodu. Tych, których szukali, nie znaleźli w chatce...

Wybiegli z niej i, zgrupowawszy się, hałaśliwie nad czemś naradzać się poczęli.

Czesław Halicz uznał, że nadszedł czas do działania, że lepiej stać się stroną atakującą, niż atakowaną, i że nagłym napadem może odebrać przeciwnikowi całą jego śmiałość i zmusić do cofnięcia się.

Pochylił się więc i szepnął:

— Baczność!... Cel!... Pal!...

I wnet rozległ się suchy trzask karabinów magazynowych, cichy świst kuli i trzech z pośród napastników, rażonych kulami, runęło na ziemię.

Pozostali, przerażeni tym nagłym i niespodziewanym atakiem, cofnęli się w nieładzie, wreszcie dopadłszy koni, czempędzej uciekać poczęli.

Napadnięci odetchnęli z ulgą... Na jakiś czas wolni od niebezpieczeństwa... Na jakiś czas tylko, gdyż nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż napastnicy powrócą, by w zwiększonej znacznie liczbie atak swój powtórzyć i pomścić śmierć towarzyszków.

No, odpoczniemy trochę! – rzekł Czesław, kładąc broń obok siebie, – możemy liczyć, że z parę godzin spokoju nam dadzą. Lecz potem...

– Co będzie potem? – pytał go Stefan.

– Znów walczyć będziemy, i albo zginiemy, albo też zdążą nam przybyć z pomocą...

– Daj Boże! – westchnął nabożnie Stefan, – ażeby stało się to drugie.

Lecz z głosu jego, zarówno jak i spojrzenia Czesława poznać łatwo można było, że przybycie pomocy jest dla nich tylko marzeniem, złudą, która ma im dodać siły i męstwa w tej ostatniej chwili przed śmiertelnemu zapasami...

Pewne było tylko pierwsze... pozostawało im walczyć, walczyć do ostatniego tchu, by drogo sprzedać swe życie i okupić je śmiercią wrogów.

Czas, wolny od napaści, postanowili użyć na lepsze zabezpieczenie się przed kulami Arabów oraz na zgromadzenie zapasów żywności i wody, by mogli wytrzymać nawet dłuższe oblężenie.

Podczas więc, gdy Czesław ze Stefanem zajęci byli sypaniem czegoś w rodzaju fosy z piasku, Said z Alą, wspinając się na palmy, zrywali daktyle, znosząc je na jedno miejsce. Toż samo zrobiono z wodą, którą napełniono wszystkie naczynia, jakie tylko w chatce arabskiej znaleźć się dały.

— Teraz możemy przetrzymać nawet i dłuższe oblężenie, — rzekł Czesław, gdy ukończono te przygotowania. — Możecie przybyć, panowie Arabowie, przyjmimy was godnie,

Nie długo potrzebowali czekać. Głuchy odgłos tętentu kopyt końskich po piasku pustyni dał im poznać, że napastnicy zbliżają się, i to zbliżają w znacznej liczbie.

— Baczność! — rzucił komendę Czesław.

Ścisnęli broń w rękę i czekali. Gdy odległość między nimi stała się taką, że kula karabinowa donieść mogła, Czesław rzekł tonem komendy:

— Cel! Pa!...

I trzy kule z świstem wszyły się w gromadę jeźdźców, powalając z nich trzech na ziemię... Pozostali rozproszyli się, lecz już w ślad za pierwszymi biegly trzy drugie kule, kładąc innych.

Wystrzelili i Arabowie ze swych skałków, lecz te, starego systemu, nie donosiły nawet na połowę odległości.

Cofnęli się więc poza linię strzałów, i tam, skupiwszy się w jedną gromadę, radzić nad czemś zaczęli.

Wynikiem tej narady było, iż rozłożyli się obozem w pewnej odległości od oblężonych, nie ośmielając się posunąć poza linię ich strzałów.

— O, do licha! — zawołał Czesław, widząc to, — nie mogąc nas wystrzelać, chcą nas wziąć głodem... Sytuacja staje się groźniejszą, i o ile nie nadejdzie pomoc, za jakieś dwa dni możemy stać się ich ofiarami.

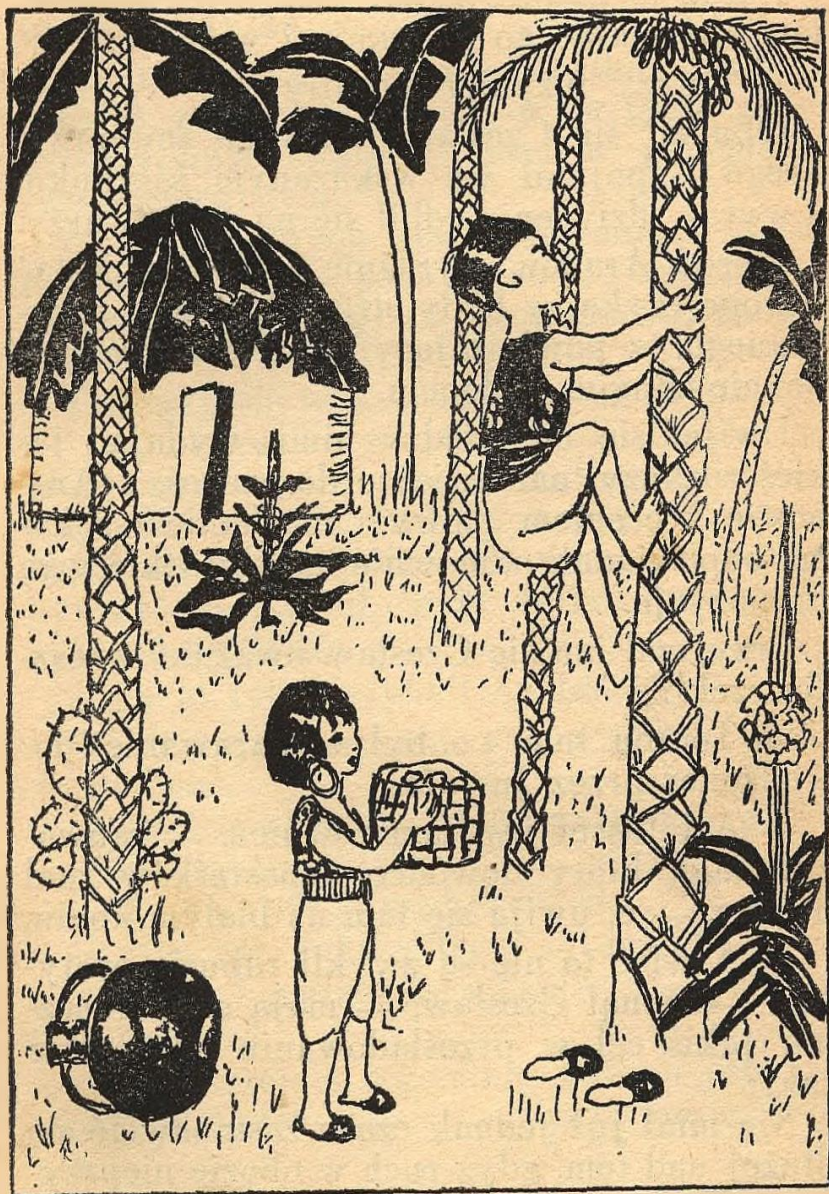
Przygnębienie odbiło się na twarzach wszystkich.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że ostatecznie czeka ich ten los.

Czesław Halicz w ponurej zadumie opuścił głowę na piersi.

Teraz, gdy plany jego uwieńczone być miały powodzeniem, gdy bliskim był końca i urzeczywistnienia marzeń, o których niegdyś roił ze stryjem, czekał go koniec, straszny koniec w mękach wśród bezbrzeżnej piaszczystej pustyni.

Zginie bez śladu, i pamięć o nim wkrótce zaginie, i nikt bliski nie zapłacze nad mogiłą jego...



Said z Aią, wspinając się na palmy, zrywali daktyle.

Nie ujrzy już więcej kraju rodzinnego, o którym marzył wciąż i roił.

Naraz te ponure myśli jego przerwał Stetan, chwytając go za ramię i wołając:

- Patrz... inżynierze, patrz tam!

Obudził się Czesław jakby ze snu przykrego i spojrział we wskazanym kierunku, a wyraz zdziwienia odbił się na jego twarzy.

Wśród Arabów wyraźnie widniała postać Europejczyka, w biały strój płócienny przybranego, z powiewającym przy korkowym hełmie długim welonem.

Uwijał się on między nimi, wydając jakieś rozkazy, namawiając do czegoś, a Arabowie kręceniem głowy i machaniem rękoma odpowiadali odmownie na wszystkie jego propozycje.

Przyjrzał mu się Czesław uważnie, wreszcie rzekł:

– To ten sam, co był w karawanie, do wodzonej przez Jussufa.

– A i jussuf jest tam również, – zauważył Said, który dowódcę napastników znał dobrze, – o, uwija się tam na białym koniu.

– A więc to nie są zwykli rabusie pustyni, – szepnął Czesław, – mają oni widocznie jakiś cel w prześladowaniu nas... Ale jaki ?

Nie miał już jednak czasu zastanawiać się dłużej nad tem, gdyż ruch w obozie nieprzyjacielskim zwrócił uwagę jego w tym kierunku.

Napastnicy, rozłożywszy się obozem, podzielili się na partje, które otaczać oblężonych poczęły. Teraz uwaga ich zwróconą być musiała na wszystkie strony.

Rozstawili się więc odpowiednio, i każdy śmiałek z pośród Arabów, o ile tylko przekroczył linię strzałów, życiem przypłacał swe zuchwalstwo.

Po parokrotnych też usiłowaniach, okupionych życiem paru Arabów, zaprzestali atakowania, cofając się do pierwotnych pozycji...

Trzymali się teraz zdaleka, lecz oblężonym sił już brakować zaczynało. To ciągłe napięcie nerwów, to ciągłe trzymanie się na baczności wyczerpywało ich siły. Po paru godzinach tak naprężonego czuwania, wydobywali resztki sił, byle tylko nie dać się ogarnąć znużeniu.

A na to tylko czyhali Arabowie.

Wieczór już zapadał, gdy Czesław rzekł do Stefana:

– Jeszcze godzina... dwie najwyżej, a wezmą nas żywcem...

Lecz temu oczy zaiskrzyły się...

– Nie, nie dokażą tego! – zawołał.

– A to jakim sposobem? – spytał go Czesław.

– Wystrzelam wszystkie kule, a ostatnią wpakuję w łeb sobie, – odparł ten spokojnie.

Z podziwem spojrzął nań Czesław i gorąco uściśnął dłoń jego.

Uznali wreszcie Arabowie, że nadszedł czas wyruszenia do ataku i ostatecznego pokonania oblężonych. Ławą posunęli się naprzód, licząc na to, że szybkością i nagłością ataku pokonać ich zdołają...

Naszym przyjaciółom zdawało się, że nadeszła już ostatnia dla nich chwila; uściskiem dłoni pożegnali się przed tą ostateczną śmiertelną walką, gotując się na śmierć.

Gdy naraz...

Biegnący do ataku Arabowie zatrzymali się w miejscu jak wryci, okrzyk przerażenia wyrwał się z ich gardeł, a w chwilę potem, nie zważając zupełnie na krzyki i wołania Europejczyka, rozbiegli się na wszystkie strony...

Do uszu naszych przyjaciół doleciał jakiś dziwny szmer z góry...

Spojrzeli tam, i okrzyk radości wyrwał się z ich piersi.

Byli ocaleni.

VIII. OCALENI.

W oazie Simreh, po odjeździe Czesława, Stefana i Saida, praca wrzała w dalszym ciągu. Wiercono studnie, wznoszono budynki, a szczególnie wieżę, gdzie mieścić się miały najważniejsze maszyny, których pozostałe części przywieźć miał z sobą inżynier Kazimierz Halicz.

Henryk, przy pomocy pana Józefa, energicznie krzątał się przy pracy, oczekując powrotu Czesława oraz depeszy z Paryża o wysłaniu reszty przyborów i wyruszeniu dyrektora.

Depesza nadeszła wreszcie. Przyniosła ona pomyślną wieść, gdyż brzmiała:

„Jutro z resztą maszyn wyruszam z Paryża. „Liberte“ przewiezie mnie do Algeru. Na trzeci dzień karawana podaży do oazy Simreh. Kazimierz Halicz“.

Depesza ta treścią swą wielce uradowała Henryka. Z niecierpliwością też oczekiwał przybycia Czesława, ażeby mu ją zakomunikować.

Lecz Czesław z towarzyszami swymi nie wracał.

Zrazu nie przejmował się tem wielce, wiedząc dobrze, że zazwyczaj wycieczki takie trwały dłużej niż dobę. Lecz gdy przeciągnęło się to do dwóch dni, niepokój dziwny jakiś począł go przejmować.

Czyżby się zdarzył jakiś wypadek? Czyżbyż samochód uległ rozbiciu lub zepsuciu, i oni pozostali sami na pustyni, oczekując ratunku i pomocy? A może stali się ofiarami napadu ze strony Tuaregów?

Wszystko to było możebne w pustyni, zwłaszcza, że wysłane w różne strony od-działki na zwiady przynosiły wciąż wiadomości o krążących w okolicach bandach Tuaregów.

Przejęty niepokojem, odbył długą naradę z Abdulem i panem Józefem, której wynikiem było postanowienie udania się na poszukiwanie zaginionych.

Znał dobrze kierunek, w jakim się udali, wiedział dobrze, która **Oaza była** celem ich podróży, odnalezienie ich więc nie przedstawiało dla niego tak wielkiej trudności.

Ale jak udać się na te poszukiwania?

Wyprawa konno lub na wielbłądach trwałaby bardzo długo i na pewno nie dałaby pożądanego wyniku. Samochód zabrał Czesław...

A tam, być może, pomoc potrzebna jest spieszenie bardzo, może wyglądają jej z wielką niecierpliwością, gdyż niebezpieczeństwo napewno wisi im nad karkiem, a śmierć szczyrzy do nich zęby i wyciąga okrutne szpony.

Tylko pośpiech, i to pośpiech jak największy, bez najmniejszej chwili zwłoki, może przynieść ocalenie, może ich wybawić.

A tu niema jak pośpieszyć, gdyż brak szybkich przyrządów lokomocji. Żeby był chociaż drugi samochód!

Gdy tak rozmyślał, wzrok jego padł na stojące na uboczu olbrzymie skrzynie, nieruszone od czasu tego, nierozpakowane.

Uderzył się ręką w czoło, i uradowany, zawołał głośno:

– A toż zapomniałem, że mamy aeroplan, że przy jego pomocy przezwyciężyć zdołam wszelkie przeszkody i najprędzej dosięgnę celu...

Przywołał zajętych wykończaniem budynków i ustawianiem maszyn rzemieślników i przy ich pomocy zabrał się energicznie do składania aeroplanu.

A był to przyrząd najnowszego systemu, z motorem elektrycznym, który mógł nieść poważny ciężar i w którego gondoli mieściło się wygodnie ośmiu ludzi.

Robota szła bardzo składnie, tak że nie minęło nawet pięciu godzin, gdy aparat cały był gotów, akumulator naładowany elektrycznością, wystarczającą na dwadzieścia cztery godziny, tak że należało tylko zajmować miejsca w gondoli i jechać.

Henryk chwilę się wahał w wyborze towarzyszków podróży. Sam obawiał się jechać ze względu na to, że pomoc czynna mogłaby być potrzebną, a on, kierując jednocześnie aeroplanem, nie mógłby jej udzielić.

Wybrał więc z pośród zajętych pracą przy wznoszeniu nowego miasta jednego, najzręczniejszego i dobrze umiejącego władać bronią, i z nim oraz z Dżemilem zajął miejsce w gondoli aeroplanu.

Rządy nad wszystkim zdał czasowo w ręce pana Józefa i Abdula, ich opiece zlecając dozór ogólny.

Gotowe wreszcie wszystko...

Aeroplan z rozpostartymi olbrzymimi skrzydłami stoi na płaszczyźnie, a lekkie drgnięcia, lekkie poruszenia skrzydeł świadczą o krążącym w nim życiu, nadanem mu przez prąd elektryczny, przebiegający z motoru po wszystkich częściach jego.

Czeka tylko, by potężną wolą człowieka poruszony, wznieść się mógł w przestworza...

Wreszcie ostatni badawczy rzut oka bada całość, pożegnanie, i potężny ptak skrzydlaty wznosi się majestatycznie do góry, żegnany okrzykami, pozostałych na ziemi.

Wśląd za nim biegną gorące i szczerze życzenia powodzenia, rychłego powrotu z odnalezionymi, a naprawdę gorąco umiłowanymi towarzyszami.

Kierując się wskazówkami Dżemila, podążył Henryk w stronę oazy, o której wiedział, że była celem wycieczki Czesława.

Mknęli szybko, rozwijając możliwie największą szybkość, byle tylko zdążyć jaknajprędzej...

Przecucie jakieś mówiło im, że stało się tam jakieś nieszczęście, że pomoc ich jak najspieszniejsza jest potrzebną.

Henryk, z wzrokiem utkwionym przed siebie, wypatrywał zielonych palm oazy, a Dżemil i towarzysz jego rozglądali się ciekawie wokół, zachwyceni urokiem tej napowietrznej podróży.

Naraz Dżemil schwytał za ramię Henryka, i wskazując mu palcem coś na piasku pustyni, zawołał:

— Effendi!.. o... o... tam...

Henryk spojrział zaniepokojony w owym kierunku, lecz prócz czarnego punkciku nic więcej dojrzeć nie mógł

Lecz sokole oczy dziecka pustyni widziały dobrze.

- Tam... effendi! – wyjąkał z przerażeniem, – leży samochód.
- Samochód? – zawołał Henryk i w jednej chwili zwrócił aeroplan

w tym kierunku.

Lotem ptaka zbliżyli się do miejsca tego, i oczom ich ukazał się leżący na piaskach pustyni samochód, lecz w jakim rozpaczliwym stanie!

Pogięty, poszarpany, połamany, znać, że znęcały się nad nim całe hordy ludzkie.

Opuścił Henryk aeroplan na ziemię i podbiegł do nieszczęsnego samochodu.

Leżał w nim jeszcze zbuczony krwią trup lwa, martwemi, szklanemi oczyma wpatrujący się w niego.

Samochód sam był bardzo zniszczony, lecz innych śladów krwi, prócz lwa, nie było na nim.

Więc gdzież się podzieli jego pasażerowie? Gdzież znaleźli schronienie i ratunek? Czyżby zginęli w walce?

Liczne ślady kopyt końskich i nóg ludzkich świadczyły, że nad szczątkami samochodu znęcała się ich gromada, lecz ani kropla krwi nie wskazywała na to, że Czesław i towarzysze jego zginęli w walce. A więc może żywych zabrali ich napastnicy do niewoli?

Zbadawszy kierunek odcisków kół, przyszedł Henryk łącno do przekonania, że samochód przybył od strony oazy, do której dążyli.

W tamtym kierunku również biegly z powrotem odciski śladów napastników.

A więc tam rozegrał się cały dramat... Tam zginęli ci, na których poszukiwania dążył...

Nie namyślając się dłużej, pobiegł do aeroplanu, zajął w nim miejsce, puścił w ruch motor i z największą szybkością pomknął w stronę oazy.

A gnała go tam cicha, słaba bardzo nadzieja, że może zdąży przybyć w porę, by ocalić ich od śmierci, a jeżeli nie, to wszystko aż wrzało w nim od gorącej a skrytej chęci zmierzania się ze zbrodniarzami i pomszczenia śmierci ukochanych towarzyszy.

Zbliżając się do oazy, łatwo mógł spostrzec, że dzieje się tam coś niezwykłego, gdyż przedewszystkiem widział białe plamy burnusów arabsów, oblegających Czesława z jego towarzyszami, widział dymy, wykwitające z karabinów ich w czasie strzałów.

A więc nie zginęli jeszcze... bronią się, bronią ostatnim wysiłkiem zapewne... A więc pomoc ich nie przybyła za późno... Może uda się im ocalić wszystkich.

Widząc to, rzucił tonem komendy:

– Naszykować broń!

W jednej chwili rozkaz jego wykonano, lecz nie zaszła nawet potrzeba uciekania się do niej.

Arabowie na widok nieznanego im dziwu, unoszącego się w przestworzach, w przerażeniu pierzchnęli, pomimo przekonywać i tłumaczeń owego zagadkowego europejczyka.

W parę minut potem widać było tylko na tle żółtego piasku pustyni mknące we wszystkie strony białe postacie.

Mknęły naprzód, przed siebie, bojąc się obejrzeć poza siebie, by ich ten przerażający dziw nie schwytał i nie odesłał do rajy proroka...

Pościg za nimi byłby wielce utrudniony, gdyż uciekali oni pojedynczo, każdy w inną stronę.

Zniżył wtedy Henryk lot aeroplanu, i znalazłszy się na ziemi, czempędzej pobiegł w stronę Czesława i jego towarzyszków, nie mniej od niego uradowanych z przybycia pomocy.

Pierwszem pytaniem Henryka było:

– Cali jesteście? cali... nic się wam nie stało?...

– Cali... Ani jedna kula nie trafiła nas, – odrzekł mu Czesław.

Opowiedział mu też pokrótce wszystkie przygody swoje, zaznaczając zarazem dziwny udział w nich owego tajemniczego europejczyka.

– Wartoby schwytać go, i, przyprowadziwszy do obozu, przekonać się, kto zacz jest on, i jaki cel mają te wszystkie jego zakusy, – zawołał Henryk.

– Próżna fatyga, – odrzekł mu na to Czesław, – jegomość ten czmychnął niewiadomo w którą stronę, i zanimbyś odnalazł kierunek ucieczki jego, dużyby wody i czasu upłynęło. Wyperswaduj to sobie, i lepiej wracajmy czempędzej do obozu. Napewno nie zaprzestanie on tak rychło zamachów swoich i jestem pewien, że wtedy dostanie się on w ręce nasze.

Usłuchał słów jego Henryk, nie popasali więc długo w oazie.

Postanowili wracać jaknajpędzej do obozu, ażeby tam wykończyć wszystko na przybycie Kazimierza Halicza, wiadomość o przybyciu którego wielce uradowała Czesława.

Zajmować poczęli miejsca w gondoli aeroplanu, lecz tu naraz zaszła nowa historia z małą Alą.

W żaden sposób nie chciała wsiąść do gondoli.

Napróżno Said i Dżemil tłumaczyli jej i namawiali, napróżno i Czesław przemawiał do niej, na wszystko odpowiadała milczącym kręceniem głowy, przytulona do pnia wysmukłej palmy rodzinnej oazy, jakby nie mogąc się z nią rozstać.

– Co z nią zrobić? – zapytał wreszcie Czesław Henryka, widząc, że rady sobie z nią nie da – zostawić tu jej nie można, a dobrowolnie jechać z nami nie chce.

– Jak nie chce dobrowolnie, – odrzekł mu na to Henryk, – to trzeba zmusić ją do tego siłą.

I wprowadzając w czyn słowa swoje, zbliżył się do Al, porwał ją na ręce, i pomimo szarpań i wrywań się jej, poniósł do gondoli aeroplanu.

Wyteżając wszystkie swe słabe siły, chciała się wyrwać z objęć jego Alą, lecz trzymał ją mocno.

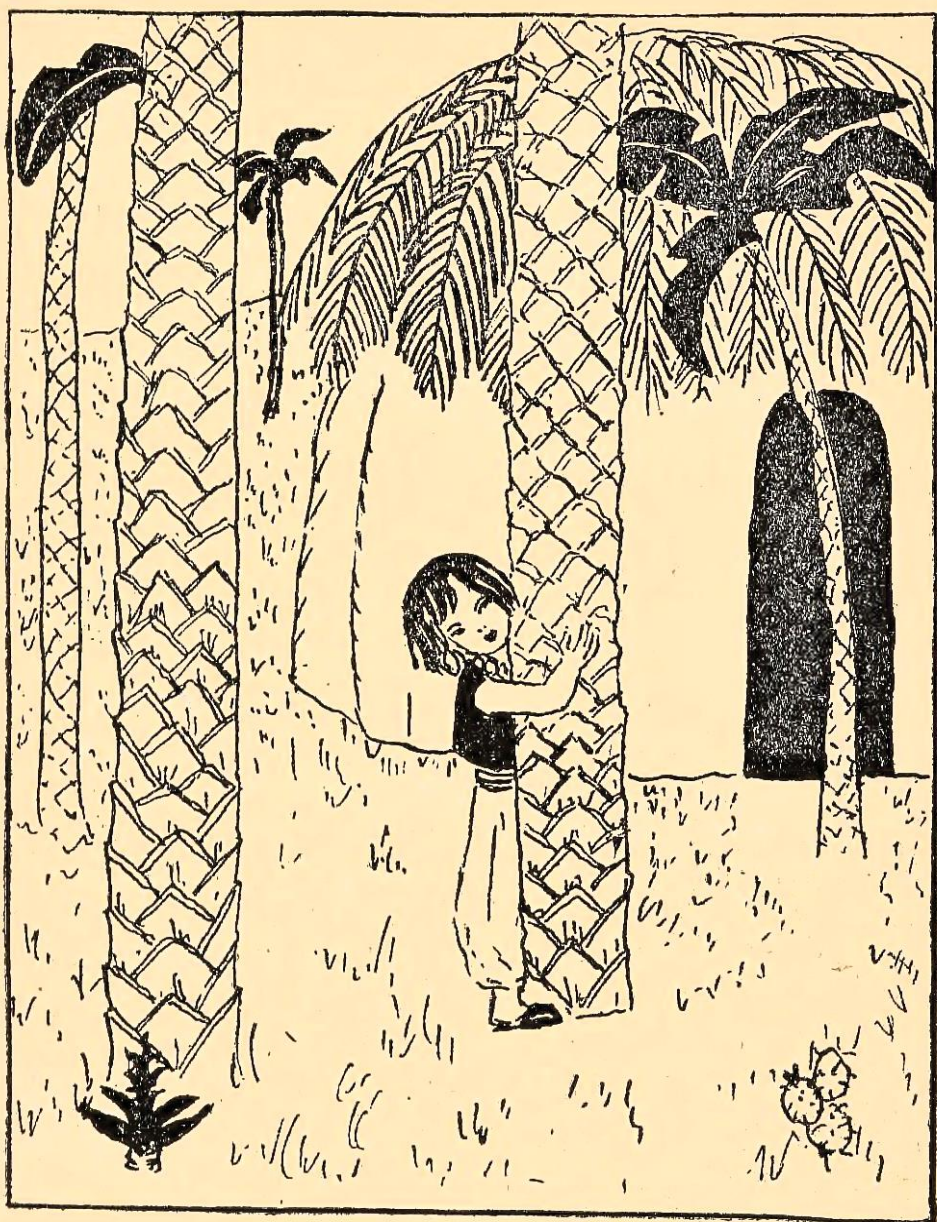
Walka ta cała toczyła się w milczeniu. Błada twarzyczka Al nabiegła krwią, a oko płonęło zawziętością.

Wiła się jak wąż w ramionach Henryka, lecz ten trzymał ją mocno. Widząc więc, że nic nie poradzi, że siłą mu się nie wyrwie, przekreśliła się i z całej mocy ugryzła go w ramię.

Syknął z bólu Henryk, lecz nie puścił jej...

— Toś ty taka, — rzekł, — no, trzeba mieć na ciebie uwagę w czasie drogi, boś gotowa wyskoczyć z góry na ziemię...

I ulokował ją w gondoli aeroplanu, oddając pod straż Stefana i Saida.



Na wszystko odpowiadała milczącym kręceniem głowy..

Zajęli wreszcie wszyscy miejsca w gondoli, Czesław puścił w ruch motor, i aeroplan wzbił się jak potężny ptak w przestworza, dążąc z powrotem do obozu, niosąc z sobą ocalonych tych wszystkich, na których ratunek podążył.

Oczekiwano ich tam z niepokojem i niecierpliwością.

Radość wielka zapanowała wśród wszystkich, gdy ujrzano, że przybyli cali i nietknięci.

Po wielokroć opowiadać musieli swe przygody, a gdy Abdul dowiedział się, iż w oddziale napastniczym znajdował się i Jussuf. pokiwał tylko głową i rzekł:

— Wiedziałem dobrze, że jeżeli ma nas napotkać co złego, to tylko z jego strony.

Małą Alę, która w ponurej zaciętości siedziała nieruchomo na dnie gondoli, oddano *zaraz* pod opiekę starej arabki. należącej do oddziału Abdula.

Czesław zajął się zlustrowaniem dokonanych robót i gorące podziękowanie złożył i Henrykowi, i panu Józefowi za ich bieg.

Tegoż samego dnia jeszcze telegraf bez drutu przyniósł im nową depeszę.

„Jestem w Algerze. Za dwa dni karawana wyrusza w drogę. Za dzień dni będę z wami. Kazimierz Halicz”.

Depesza ta przejęła ich radością.

Przybywa nareszcie ten, kto kierunek nada wszystkiemu, ten, kto w te jałowe, bezpłodne piaski pustyni tchnie nowe życie; ten kto ujarzmił siły natury, uczynił je posłusznymi swej wszechmocnej woli i potędze.

Przybywa po to, by zamienić w czyn to, o czym marzył oddawna, by dokonać tego, co ludzkość za nieziszczalne urojenia uważała...

I radość podwójna dnia tego w obozie panowała...

IX. ELEKTROPOLIS.

Upłynął rok od tego czasu.

Zawrzała życiem oaza Simreh, życiem niezwykłym, gorączkowym, aż mu się dziwią wysmukłe palmy, do ciszy i do spokoju pustyni przywykłe...

Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, na piaskach bezbrzeżnych pustyni nowe powstało miasto.

Olbrzymie, potężne miasto, o setkach domów rozrzuconych wszędzie, z budynkami fabrycznymi, z zakładami przemysłowymi.

Lecz i dziwne zarazem to miasto. Domy w niem nie stoją skupione, jeden obok drugiego, rozdzielają ją ogrody, pełne zieleni, pełne roślin.

Aż dziw zdejmuje, że w przeciągu roku tak bujna wegetacja okryć zdołała bezpłodne piaski.

A domy te, to nie kamienice olbrzymie, nie te „drapacze nieba”, wznoszące się wysoko do góry, a urągające wszelkim wymaganiom higieny, służące za rozsadniki chorób, mrowiska, rojące się do ciżby ludzkiej.

O, nie!.. Każdy domek, to zgrabna, wytworna w linjach architektonicznych willa, o jednym piętrze. Zbudowane są z taniego materiału, gdyż z piasku łączonego z cementem, a kryje je dach z błyszczącej jak srebro blachy aluminiowej.

Urządzenie wewnętrzne domu, również pełne prostoty i smaku, przedewszystkiem ma na celu wygodę mieszkańców.

Ulicami miasta, biegnącymi w prostej linii, przesuwają się cicho, bez szmeru, leciutkie wagoniki tramwaju elektrycznego... Taką sama linja, lecz już w zastosowaniu do przewożenia ciężarów, łączy miasto z najbliższą stacją kolei żelaznej, idącej do Algeru.

W całem mieście nie ujrzy nikt żadnego stworzenia, używanego do przewożenia ciężarów... Wykluczone są one wszystkie z życia codziennego mieszkańców... Czynności ich z powodzeniem zastępują małe, zgrabne samochodziki, poruszane siłą elektryczną. Na dalsze odległości zna-

komicie czynność tę spełniają aeroplany zupełnie nowej konstrukcji, z łatwością unoszące w przestworza olbrzymie nawet ciężary.

W mieście tem również znajduje się mnóstwo zakładów przemysłowych, mnóstwo fabryk... Lecz nigdzie nie widać wyniosłych kominów tak szpecących krajobraz, i rozsiewających wokół i dym, i sadze. Nigdzie nie słyhać tam turkotu i hałasu, praca w fabrykach tych odbywa, się cicho, maszyny obracają się bez najmniejszego szmeru, pokorne i posłuszne woli i skinieniu wszechmocnego pana tego miasta – człowieka.

Pośrodku miasta wznosi się dziwny budynek. Jestto wieża, wyniosła wieża, szeroka bardzo u podstawy, na której szczycie strzela wwyż ku niebu niezliczona ilość drutów.

W wieży tej zamknął człowiek, potężny władca miasta, ujarzmioną potęgę, przy której pomocy cudów tych dokonywa... To serce, mózg i siła miasta.

Stąd czerpie ono siły do życia, stąd płynie cała moc i potęga. W niem się koncentruje wszystko, co w mieście cudów dokonywa...

Dnia dzisiejszego wieża przybrała się świątecznie. Stroi ją zieleń mnogich girland, zdobi ją kwiecie wonne, powiewa z niej niezliczona moc chorągwi o barwach Rzeczypospolitej francuskiej, obok których powiewają i inne, o biało - czerwonej barwie Rzeczypospolitej polskiej.

Tak samo wspaniale przybrany jest i dworzec kolei elektrycznej, łączącej miasto z Algerem, a przezeń z Europą.

Na dworcu tym ruch panuje niezwykły. Liczne grono osób oczekuje nadejścia pociągu z Algeru.

To ci, co wznieśli to miasto, którzy rękoma własnymi zbudowali je, i jak perłę olbrzymią rzucili na niezmierzone obszary piasków...

Na czele ich stoi ten, który genjuszem i wiedzą swą życie potrafi obudzić w pustyni, na niego też wszyscy zwróconą mają uwagę.

To główny inicjator i twórca projektu – Kazimierz Halicz... Stoi on jednak na uboczu, zatopiony w myślach, cichy, skromny, milczący.

Tuż koło niego grupują się najbliżsi i najgorliwsi pomocnicy i współpracownicy jego...

Jest wśród nich i Czesław, i Halicz, są Henryk, Stanisław, Stefan i inni, co od samego początku nad wzniesieniem dzieła tego pracowali... Jest i pan Erazm, w czamarze, z głową, jakby z starożytnej kamei wyciętą... Jest i monsieur Maurycy Leblanc, który przybył na miejsce wraz z karawaną Halicza, myśląc, że w samotnej, rzuconej wśród pustyni oazie z powodzeniem odgrywać będzie mógł rolę władcy Sahary...

Niestety jednak prędko bardzo rozbrat wziąć musiał z tą myślą, gdy przekonał się, że miejsce tam znaleźć mogą tylko ludzie pracy...

Rad nie rad, porzucił swe marzenia, zakasał rękawy, stanął wraz z innymi przy warsztacie, i wkrótce Kazimierz Halicz do najgorliwszych pomocników swoich mógł go zaliczyć...

Zepsuty, rozpieszczony milioner w tej atmosferze pracy czuł się doskonale, jak nigdy może w Paryżu, i z podziwem patrzył na Kazimierza Halicza, który cudu takiego dokonać potrafił...

Nie brak również na stacji i Abdula, i Saida, i Dżemila, i wszystkich arabów, którzy straż nad nowopowstającym miastem i nad twórcami jego trzymali... Znajduje się tam także i mała Ala wraz z opiekunką swoją... W przeciągu roku oswoić się zdołała z nowym życiem, przywiązać się, a nawet i pokochać miłością dziecka Czesława Halicza, który żartobliwie opiekunem jej się mianował, oraz tych wszystkich, co ją otaczali, a dobrzy dla niej byli.

I ona przybyła na stację, by uczestniczyć w przyjęciu gości z Europy, przedstawicieli akcjonariuszów Tow. kolonizacji Sahary, prasy, rządu francuskiego i innych, przybywających celem obejrzenia miasta, powstałego na piaskach pustyni i przyjęcia udziału w uroczystym rozpoczęciu działalności Towarzystwa, gdyż jednocześnie prawie pierwsze osady kolonji rozdawane być miały przybywającym z Europy kolonistom...

Wreszcie dał się słyszeć sygnał, i punktualnie o naznaczonej godzinie przed dworzec zatoczył się po cichu pociąg, złożony z kilku wagonów, z którego wysiadła spora grupa osób, wykwintnie odzianych, ciekawie rozglądających się po stacji i ze zdziwieniem pewnym patrzących na to, że

nikt nie wita ich ani orkiestrą, ani szumnymi przemowami, ani też wiwatami, do czego tak przywykli w Europie...

Witała ich w milczeniu gromada ludzi, na których twarzach praca piętno swe wyryła, a na których czele stał mąż wyniosłej postawy, o obliczu poważnym, pełnym myśli, o postawie nakazującej szacunek...

– Witajcie, panowie! – rzekł krótko, poczerń zaprosił gości, by szli za nim...

Sam ruszył naprzód, a za nim podążyli goście, podążyli wszyscy współpracownicy. Niektórzy delegaci uściskiem ręki przywitali się z Leblancem, zdumiewając się w duchu nad zaszłą w nim zmianą...

W czasie powitania nikt nie zauważył, jak z ostatniego, na samym końcu pociągu znajdującego się wagonu wysunęła się grupa osób, w odmienny od wszystkich strój przyodzianych...

Mieli oni na sobie sukmany brązowe, taśmami obszywane, kapelusze okrągłe na głowach i długie z cholewami buty na nogach, w które zapuszczone były pasiaste spodnie. Kobiety również odziane były w chustki i wełniaki.

Gromada ta, składająca się z pięciu osób: trzech mężczyzn, snąc ojca z synami, i kobiet dwóch – matki z córką, wysiadłszy z wagonu i wynióśszy z niego węzełki, stała na uboczu bezradnie, nie wiedząc, co robić ze sobą...

I staliby tak długo, gdyby nie dostrzegło ich bystre oko pana Erazma. Poskoczył wnet ku nim, i uchylając czapki, zawołał:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Błysnęły radością oczy chłopów, toć na pierwszym progu do nowego życia spotykają swojaka, który wita ich słowem Bożem... Ściągnęli więc czempredziej kapelusze z głów i. kłaniając się w pas panu Erazmowi, odrzekli chórem:

– Na wieki wieków...

– A skądście to, moi ludzie?... – dopytywał się ich pan Erazm, niemniej od nich uradowany, witając ich podaniem ręki i siłą prawie wtłaczając im kapelusze na głowy...

– A z Mazurów Wschodnich, co się pod Prusakiem ostały, panie! – odrzekł niemłody już mężczyzna, snąc ojciec całej gromady...

– Dlaczegożście opuścili ziemię ojczystą?... – pytał dalej pełnym wzruszenia głosem pan Erazm.

– Dlaczego... wielmożny panie? – odrzekł mu stary chłop. – Każdyby się rękami i nogami dzierżył tej ziemi ukochanej, nie puściłby się jej ani na chwileczkę... Ale cóż... Kiedy nijak wyżyć nie można było. Stara moja kiedyś powiada: „Idź do miasta, tam są mądry ludzie, na książkach uczeni, zapytać się ich. poradź”. Usłuchałem jej, panie, i nic żałuję tego... Pojechałem do miasta, tam poszedłem do takiego pana, co jak mi mówili, naszymi chłopskimi zajmuje się sprawami, a on dopiero mi powiedział:

– Słuchajcie, człecze, a toć daleko co – prawda, bo w Afryce, powstaje kolonja, gdzie każdy szmat ziemi darmo dostanie.... Jedźcie tam, bo tam dzielny człowiek, Polak, na czele stoi... On wam krzywdy nie zrobi i skrzywdzić nie da...

Usłuchałem tej rady jego, wielmożny panie... Zebrałem, co się dało, i oto przyjechałem... A teraz proszę pokornie, panie, pokażcie do kogo iść, by kawałek dachu nad głową i szmat ziemi do pracy dostać.

Ze wzruszeniem wysłuchał pan Erazm smutnej opowieści chłopca i łąza współczucia w oku mu się zakręciła...

– Chodźcie, moi drodzy! – rzekł do nich – powiodę was tam, gdzie dostaniecie to wszystko...

Zarzucili chłopcy tobołki na plecy, a pan Erazm, idąc na czele, powiódł ulicami nowopowstałego miasta pierwszych kolonistów jego, zmuszonych do poszukiwania chleba w obcych krajach.

X.

MIASTO CUDÓW.

Kazimierz Halicz, stojąc na wzniesieniu przy wejściu do wieży, kończył swą przemowę...

— Wszystko, co ujrzycie tu, panowie — mówił — zawdzięcza swój ruch, swe życie tej tajemniczej, a niepoznanej dotychczas dostatecznie i niewyzyskanej sile, jaką jest elektryczność. Miasto to służyć ma za dowód jej potęgi i mocy, i dlatego też nazwanem jest Elektropolis — gród elektryczny..

Tu mowę jego przerwały pełne entuzjazmu i zapału okrzyki zebranych:

— Vivat Elektropolis!... Vivat gród elektryczny! Niech żyje Kazimierz Halicz!...

Uklonem podziękował za owację, i gdy okrzyki umilkły, ciągnął dalej:

— Miasto to jest pierwszą placówką do posuwania się w głąb Sahary, do zawojowania tych bezpłodnych przestrzeni i zmuszenia ich do służenia człowiekowi... Daj Bóg, ażeby w krótkim czasie powstało ich więcej, by nadmiar ludzi, cierpiących nędzę w starej Europie, znalazł tu teren do pracy i chleb, i dostatek...

Skończył swe przemówienie i, schodząc ze wzniesienia, rzekł:

— A teraz, pozwólcie, panowie, że przedstawię wam wyniki naszej pracy...

I prowadząc ich do otwartych podwojów wieżycy, rzekł:

— Ta wieża, jak panowie widzicie, służy za główny zbiornik elektryczności.... Specjalne przyrządy, przy pomocy długich, strzelających wwyż, ku niebu, drutów, chwytają ją z chmur, z obłoków, z fal powietrznych, ściągają na ziemię i wiążą w specjalnych akumulatorach. Siła, jaką rozporządzam w tej wieży, zdolnąby była szalonym orkanem zmieść połowę ludzkości z powierzchni ziemi... Lecz nie w celach wojowniczych i

zabójczych więziona jest ona przezemnie, przeciwnie zadaniem jej jest budować, budzić nowe życie... Z niej to rozchodzą się prądy, poruszające wszystkie maszyny licznych zakładów przemysłowych miasta, ona dostarcza siły dla kolei, tramwajów, ona ogrzewa i oświetla wszystkie domy w mieście. Z niej to wysyłam owe prądy powietrzne, wzruszające powierzchnię ziemi i czyniące ją urodzajną... Prądy te poruszają pługi i maszyny, służące do uprawy ziemi, poruszają pompy, zraszające wodą ze 28 studzien systematycznie wszystkie pola... W Elektropolis wszystkie funkcje spełnia elektryczność, ta przepotężna, siła. Człowieka zadaniem jest tylko pilnować, by funkcje te swoje wypełniała należycie, regulować je.

Z podziwem patrzyli zebrani na potężne, stojące w głębi olbrzymiej hali wieżowej akumulatory... na będące w ciągłym ruchu maszyny, bez szmeru i hałasu obracające potężne koła...

Kazimierz Halicz podszedł do jednego z akumulatorów, przekręcił guziczek, i w jednej chwili pogasły wszystkie jasno płonące we wnętrzu wieżycy lampy, i mrok je ogarnął...

Wszyscy ze zdumieniem patrzyli na to, gdy naraz błysnęło potężne światło i olbrzymią wstęgą przemknęło od jednej ściany do drugiej...

Za tą błyskawicą ukazała się druga i trzecia...

To Kazimierz Halicz puszczał prądy elektryczne o tak silnym napięciu, że zwykłe iskry zamieniły się w potężne błyskawice.

Z podziwem patrzyli na nie wszyscy zebrani, a już z pewnym lękiem na tego człowieka, który ujarzmił grom i błyskawicę na ziemię sprowadził...

Skończył swe doświadczenia Halicz, i znów światło lamp zabłysnęło we wnętrzu wieży.

– To nie moja zasługa – rzekł, gdy znalazł się wśród gości – te potężne promienie elektryczne wynalazł elektrotechnik amerykański Tesla... Jam je tylko udoskonalił i zastosowałem praktycznie... Pozwólcie, panowie, dalej, a przedstawię wam zastosowanie elektryczności, i służbę, jaką ona nieść ludzkości może...

I poprowadził *gości* swoich na nieopodal położone pole. Znajdował się już tam pług o czterech lemieszach, połączony z małym motorkiem.

Podszedł do niego Kazimierz Halicz i, nacisnąwszy guziczek, puścił w ruch.

Pług, jak zaczarowany, posunął się naprzód, krając lemieszami ziemię, odkładając skiby równo i gładko.

Na zakręcie Halicz przesunął strzałkę, umieszczoną na specjalnej tarczy, i pług, powolny jego woli, skręcił w bok i z drugiej strony odwalać skiby zaczął.

Robota cała odbywała się nadzwyczaj szybko i dokładnie.

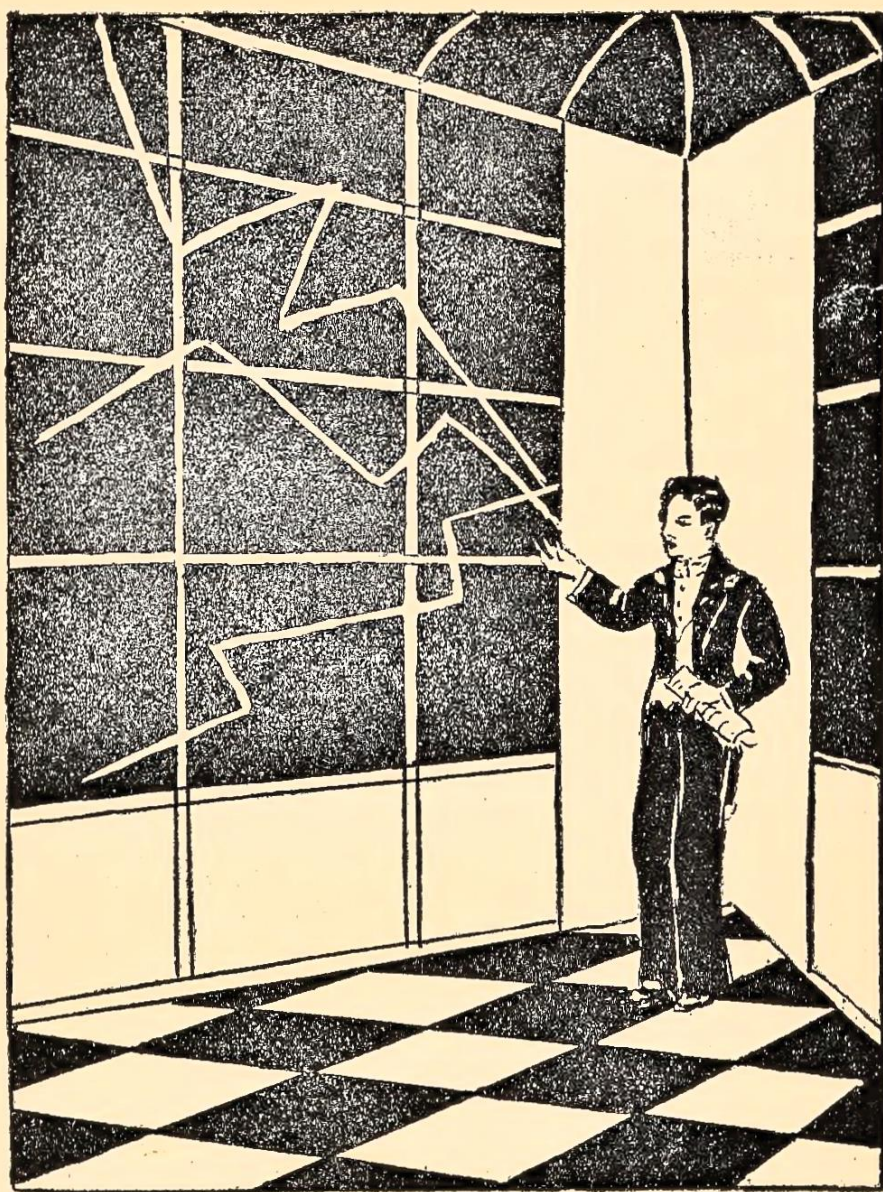
Na świeżo zorane skiby puścił wnet Czesław Halicz specjalne brony, równie zaopatrzone w motorek elektryczny, i bryły ziemi wnet rozkruszone i wygładzone zostały...

– Zajęcie człowieka – tłumaczył Kazimierz Halicz zebranym, patrzącym z podziwem na odbywającą się w ich oczach próbę – redukuje się przy użyciu mechanicznych przyrządów do uprawy ziemi do dozoru ich, do pilnowania, by prawidłowo funkcjonował motor. To samo dzieje się z siewem,

ze zbiorem i wszystkimi czynnościami, związanymi z rolnictwem. Użycie pracy fizycznej człowieka oraz siły pociągowej zwierząt dzięki elektryczności zostało zupełnie wykluczone... Niedługim też jest czas, gdy zniknie z powierzchni ziemi koń, jako zwierzę pociągowe i juczne. Funkcje jego spełniać będą motorki elektryczne, zaopatrzone w akumulatory, naładowane siłą, wystarczającą na dłuższy przeciąg czasu...

Tymczasem Czesław Halicz ustawiał na skraju uprawionego już pola mały siewnik i puścił w ruch motorek. Siewnik sam posuwać się zaczął po polu dokładnie, z matematyczną wprost ścisłością rozsiewając ziarna.

Podziw zebranych i zaproszonych na pokaz gości nie mógł jednak iść w porównanie z tym podziwem, jaki okazywali pierwsi przybyli z Europy emigranci, a których pan Erazm na kraj pola przyprowadził.



Za tą błyskawicą ukazała się druga i trzecia...

Stali z literalnie pootwieranymi ustami, patrząc szeroko rozwartymi oczyma na poruszające się same i wykonywujące prace swą maszyną, pracę, nad którą i oni, i konie ich tyle potu wyleli, tyle się namęczyli...

– Olaboga!... – zawołał wreszcie stary chłop, jakby budząc się ze zdumienia – czary, czy co?... maszyny same chodzą po polu, bez koni... To chyba nieczysta pcha je siła... A jak ci orzą równiutko, a jak ci wloką gładziuchno, a jak to sieje... Nie, to nieludzka siła popycha te maszyny...

– E! – przerwał mu starszy syn, dorodny parobczak – co też tatulo mówią... Nieczysta siła zaraz i nieczysta... A czyż to tatulo nie widzieli, jak u Niemca w Smarzenicach na folwarku same pługi orały?...

– Ale tam były wielgachne parowe maszyny, które je pchały, a tu nie ma nic, ale to nic... Same sobie tak spacerują po polu, kiejby gospodarz, co tylko wygląda, rychło-by zabrać się do żniwa...

– Ale za taką maszyną – wtrącił się do rozmowy drugi syn – to ci można chodzić z książką w garści, i czytać, i uczyć się...

– A tak, moi drodzy – odezwał się wreszcie pan Erazm – przy tych maszynach możecie więcej czasu poświęcić pracy umysłowej... Nie wymagają one prawie żadnej pracy fizycznej, a pilnować ich bardzo też nie trzeba, gdyż raz nastawione odpowiednio same jak najdokładniej swą robotę wykonywują... I nie porusza ich żadna siła nieczysta, tylko maszyna, lecz jest ona niewielka i przyłączana do każdej maszyny oddzielnie...

Objaśnienie to w zupełności wytłumaczyło gromadce emigrantów siłę, poruszającą maszynami i zadowolniło ich w zupełności. To też bez dawnego lęku, lecz z niemniejszym zdumieniem patrzyli na demonstrowane i im, i gościom maszyny do żniwa, młocki, młyny i inne przy rolnictwie używane...

I tak wiódł Kazimierz Halicz gości swoich od jednego działu swego do drugiego, pokazując im, co dokonał, pyszniąc się ujarzmieniem potężnej siły.

Z działu rolniczego przeszli do innych działów przemysłowych... Wszędzie działały potężne maszyny, poruszane siłą elektryczną, a rola

człowieka ograniczała się tylko do pilnowania, by funkcjonowanie ich prawidłowe było...

– Największym marzeniem moim – tłumaczył zebranym Kazimierz Halicz – było, ażeby pracę rąk ludzkich zastąpić pracą mechaniczną... Wpłyne to znacznie na podniesienie dobrobytu ogólnego, gdyż da ludzkości towar dobry i tani... Obawy, że wskutek zastąpienia pracy ludzkiej maszynami nastąpi głód i nędza, są płonne... Matka ziemia w łonie swem mieści tyle skarbów, tyle bogactw niewyczerpanych, że choćby nawet ludzkość na kuli ziemskiej w dziesięćkroć wzrosła, wystarczy ich na jej wykarmienie. Pomnijmy przytem, że nauka i wiedza z każdym rokiem idą naprzód... Że coraz to nowe dokonywane są wynalazki, dobro ludzkości mające na celu... Część tych wynalazków, drobną tylko ich częśćką coprawda, zastosowałem w Elektropolisie. Lecz ażeby one korzyść przynieść mogły, muszą się zmienić prawa, rządzące ludźmi... Na zasadzie porozumienia się naszego z rządem rzeczypospolitej Francuskiej, pod której protektoratem Sahara pozostaje, Elektropolis rządzić się będzie własnymi prawami. Dadzą się one zamknąć w paru punktach: przedewszystkiem w Elektropolisie wszyscy są równi i równymi rządzą się prawami, każdy obowiązany jest pracować i nie zaniedbywać się w swej pracy; kto tylko zacznie się lenić, otrzymuje pierwsze ostrzeżenie, po trzech ostrzeżeniach zostaje wykluczony z liczby mieszkańców miasta. Wszystko stanowi wspólną własność wszystkich, dlatego też ogół o całość wszystkiego dbać winien, lecz zyski, osiągnięte z pracy, stanowią własność poszczególnych jednostek. Z zysków tych jedna część przeznaczoną została na spłatę kapitałów tym, co pieniądze swe w akcjach Elektropolisu ulokowali, druga część idzie do kasy ogólnej na pokrycie różnych wydatków, amortyzację maszyn, kupno nowych i zaprowadzenie coraz to innych udoskonaleń; trzecia część składana jest jako fundusz emerytalny, by starcy z Elektropolisu, niezdolni do pracy, nie potrzebowali cierpieć nędzy, lecz żyli w dalszym ciągu w wygodach i dostatku; czwarta wreszcie część stanowi własność pracownika, i z nią może już robić to, co mu się podoba. Użycie alkoholu i gry hazardowe są stanowczo wygnane z Elektropolisu, i każdy

schwyty na gorącym uczynku przekroczenia tego zakazu, surowo karany będzie. Przestrzegać porządku oraz pilnować, by wszystkie zarządzenia ściśle wykonane były, będzie główny zarząd miasta, który z pośród siebie wybiorą mieszkańcy, przyczem wszyscy, mężczyźni i kobiety, gdy tylko mają lata odpowiednie, mają prawo głosu przy wyborach... Oto jest, panowie, krótki zarys praw, jakimi rządzić się Elektropolis; przyszłość pokaże, czy prawa te są odpowiednie i czy zastosować się dadzą w praktyce...

Huczne oklaski i okrzyki były odpowiedzią na ten w krótkości zarysowany program rządów Elektropolisu...

Najhuczniej i najgłośniej oklaskiwali delegaci akcjonariuszy Tow. eksploataowania Sahary, gdyż program ten w zupełności zabezpieczał ich gotówkę, ich prawa i przywileje...

Gdy ucichły te wybuchy entuzjazmu, Kazimierz Halicz rzekł:

– Pozwólcie, panowie... Po trudach należy się pewien odpoczynek i posiłek ciału... Proszę was bardzo, oczekuje nas ucztą, skromna cprawda, lecz trudno, na taką tylko stać teraz Elektropolis...

I powiódł ich do wspinałej sali, oświetlonej potokami promieni słonecznych, wpadającymi przez wielkie, o kryształowych szybach okna, na której środku stały wielkie stoły, zastawione kwieciami i potrawami.

Zajęli wszyscy miejsca swoje i wnet po stołach posuwać się poczęły małe wagoniki, zastawione wykwiutnymi potrawami... Kierował nimi Czesław Halicz, który miał przed sobą olbrzymią tablicę z mnóstwem guzików, na których pociśnięciem puszczał w ruch odpowiedni wagonik...

– Czy i potrawy te przepojone są elektrycznością? – zapytał żartem Kazimierza Halicza jeden z gości.

– Nie – odrzekł tenże – lecz mogę zapewnić pana, że wszystkie przyrządzone zostały przy pomocy elektryczności.

– Ależ z pana istny czarodziej! – rzekł inny gość – rządzisz elektrycznością, jakby ona pokorną twą służką była... Zapewne przy jej pomocy dokonasz tego, o czym marzyli starożytni alchemicy, to jest będziesz mógł robić złoto...

— Złoto, nie! — odrzekł skromnie Kazimierz Halicz — ale djamenty potrafię robić.

Na twarzach zebranych odbiło się zdumienie...

Co?... diamenty?... Ten człowiek ma moc robienia djamentów i mówi o tym z takim spokojem, z miną tak obojętną... A toż przy takiej umiejętności można stać się milionerem, ba! miliardem nawet...

Podziwem zapłonęły oczy ludzkie i spoczęły na tym, co sztukę tę posiadał i tak lekko ją sobie traktował...

I naraz rozległ się głos z mocnym akcentem cudzoziemskim, tak że aż zwrócił uwagę wszystkich.

— Jeżeli pan umie robić djamenty, to proszę pokazać nam tę sztukę...

Spojrzał i Czesław Halicz wraz z innymi na mówiącego i wydało mu się, że zna tę twarz, że postać ta jest mu znajomą...

Począł szukać w pamięci i wreszcie przypomniał sobie, że widział ją wśród owej tajemniczej karawany, którą dowodził Jussuf.

A Kazimierz Halicz odrzekł spokojnym tonem:

— I owszem, po posiłku, proszę panów do mojej pracowni... Tam im zademonstruję ten nienowoty zresztą wynalazek...

Reszta ucztę odbyła się w jakimś gorączkowym podnieceniu i oczekiwaniu...

Miano ujrzyć coś niezwykłego, możliwość stania się milionerem w przeciągu krótkiego czasu...

Wygłaszane mowy i toasty przeminęły niepostrzeżenie, każdy prawie pochłonięty był myślą o tym, co ujrzy, jakie znów dziwo ukaże ten czarodziej.

Pospiesznie też powstano od stołu, tłumnie cisnąc się za Kazimierzem Haliczem do jego pracowni. Wielka, widna sala, zastawiona stołami, z rozstawionymi na nich motorkami, przyrządami i maszynami oraz rysunkami różnych maszyn w jednej chwili zapełniła się cała.

Kazimierz Halicz ze spokojem podszedł do jednego ze stołów, wziął jakiś dziwnego kształtu przyrząd, połączył go drutami z maszyną elektryczną, i biorąc do ręki spory kawałek węgla, rzekł do zebranych:

— Jak wam wiadomo zapewne, panowie, djament jest skryształizowanym węglem... Oto więc macie materiał, z którego w krótkim czasie stanie się djament, blaskiem swym i pięknnością nie ustępujący w niczym tym, do których tak wzdychają wszyscy ludzie na świecie...

I rzekłszy to, włożył węgiel do owego przyrządu, zamknął go hermetycznie i puścił prąd elektryczny takiej siły, że aż przyrząd cały rozżarzył się i blask wydawał wielki...

Po paru minutach przerwał działanie prądu i przyrząd ostudzać zaczęła. Gdy już ostygł dostatecznie, otworzył go i wyjął z niego djament, błyszczący wspaniale wielkości wróblego jaja...

Oczy zebranych zapłonęły.

Każdy chciał go dostać do ręki, każdy chciał go obejrzeć, dotknąć się chociaż...

Pierwszy pochwycił go ów nieznamy i oglądać zaczął... Ważył go w rękę, podszedł wreszcie do szyby i wyrysował na niej wielkie D. Djament rysował szkło znakomicie.

Lecz widz nie mógł długo cieszyć się nim, gdyż wnet pochwyciły go inne dłonie.

I tak djament, wędrując z ręki do ręki, obszedł wszystkich w koło, poczem powrócił do Halicza, a ten, doręczając go Leblancowi, rzekł:

— Proszę, zechciej przyjąć go, panie, na pamiątkę wspólnej naszej pracy przy wznoszeniu tego miasta...

Przyjął go Leblanc i, uściskiem ręki dziękując za dar Haliczowi, odrzekł:

— Przyjmuję go, lecz nie dla cenneści jego, nie dla wartości, gdyż pracując wraz z tobą, panie, nauczyłem się gardzić tem, a cenić tylko pracę i wartość moralną... Lecz przyjmuję jako pamiątkę, jako dar od człowieka, którego przyjaźnią się szczyję...

Huczne oklaski powitały to przemówienie.

Wychodzić już mieli wszyscy z pracowni, gdy do Halicza, idącego na samym końcu, podszedł ów nieznajomy i rzekł:

– Czy mógłbym prosić pana o parę słów na osobności?

Kazimierz Halicz spojrział na niego ze zdziwieniem, wreszcie odrzekł:

– Obecnie jestem bardzo zajęty przyjęciem miłych gości... Lecz wieczorem, gdy wszyscy udadzą się na spoczynek, jestem do usług pana...

– Dobrze zatem – rzucił krótko nieznajomy, i pośpieszył naprzód, by połączyć się z towarzystwem, idącym na dalsze zwiedzanie cudów Elektropolisu...

Coraz też na widok czegoś nowego i nadzwyczajnego z piersi gości wydobywał się okrzyk zachwytu i zdumienia.

Wielki również podziw wzbudził widok kolonji Arabów, osiadłych na roli, zajmujących się rolnictwem.

A więc i te wiecznie koczownicze dzieci pustyni potrafił ten czarodziej przekonać o korzyściach życia osiadłego, o dobrobycie, jaki im dać może praca na roli.

– To nasi wierni towarzysze pracy – odrzekł Halicz – strzegli nas podczas całego przebiegu pracy, i teraz, nie chcąc rozstawać się z nami, osiedli przy naszej kolonji, zajmując się, tak jak i wszyscy, pracą na roli...

– A czy kolonja może się bronić w razie nagłego napadu koczowniców pustyni?... – zapytał niespodziewanie ów tajemniczy nieznajomy, którego postać wielce intrygowała Czesława.

Uśmiechnął się tylko lekko na to pytanie Kazimierz Halicz i odrzekł:

– Nie radziłbym im próbować tego... Niezależnie od tego, iż wszyscy mieszkańcy Elektropolisu w jednej chwili, jak jeden mąż, stanęliby pod bronią, a każdy z nich władać nią znakomicie potrafi, posiadam jeszcze i inne środki obrony, które potrafią stawić opór najsilniejszym nawet oddziałom nieprzyjacielskim, gdyby komu na myśl przyszło zbrojnie atakować Elektropolis...

– A jakie?... – zapytał spiesznie nieznajomy, i oczy jego błysnęły ciekawością...

nie podobała się ta nadmierna ciekawość Haliczowi, odrzekł też z lekkim ukłonem:

— Daruje pan, lecz to stanowi tajemnicę, znaną tylko paru bliskim mnie osobom...

Odpowiedź ta nie spodobała się nieznajomemu, który z miną niezadowoloną połączył się z resztą towarzystwa.

XI.

NIEZWYKŁE PROPOZYCJE.

Noc już zapadła, gdy wszyscy zwiedzający, znużeni podróżą i oglądaniem wyników pracy Kazimierza Halicza, udali się na spoczynek.

Jeden tylko twórca i inicjator tego olbrzymiego dzieła nie spał jeszcze.

Siedział w gabinecie swoim, przy biurku, zawałonem stosami papierów, i przeglądając korespondencję całodzienną, wiódł cichą rozmowę z panem Erazmem...

Pochylony ku niemu starzec cichym głosem, szeptem prawie, opowiadał mu dzieje owej rodziny wieśniaczej z Prus Wschodnich, którą losy zapędziły aż hen! na Saharę, by znaleźć mogła kawał roli do pracy i spokój tak niezbędny do zdobycia dobrobytu.

— Takich, jak oni — odrzekł panu Erazmowi Kazimierz Halicz, wysłuchawszy opowieści — przybędzie wielu jeszcze... wielu...

Znaleźć tu muszą wszystko, coby im los osłodzić mogło... Trzeba też otoczyć ich taką atmosferą, takim ciepłem uczucia, żeby im choć trochę przypomnieć ojczyznę, by nie żarła ich tęsknota i żal za opuszczonym zagonem ojczystym...

— Cóż, kiedy te domy tutejsze niczem a niczem nie przypominają im ich chat bielonych, słomianą strzechą krytych, a zielenią sadów otoczonych...

— Ale za to są one daleko zdrowsze i higieniczniejsze i przyczynia się skutecznie do rozwoju siły u naszego ludu, tak dzięki złym warunkom zdrowotnym skłonno do charłactwa... Lecz za to mam ja tu coś, co wspaniale będzie się mogło przyczynić do wyleczenia ich z gnębiącej nostalgji...

— Co takiego?... — zapytał ciekawie pan Erazm...

Kazimierz Halicz odsunął szufladę biurka, wydobyl z niego teke, i otworzywszy ja, wyjal jeden z rysunkow i polozyl go przed panem Erazmem.

Ten wziat go do rak, poczat mu sie przygladac, a po chwili zaiskrzyly mu sie oczy...

– Kościółek... – wyszeptał drżącymi wargami – kościółek... taki sam, jak tam, w Polsce, w wiosce naszej... Biały, skromny, z dzwonnica...

– Tak – przytwierdził mu Halicz – kościółek, do którego budowy przystępujemy natychmiast, a przy którym osiadzie kapłan z Polski. A przy kościele tym stanie cały szereg budynków, jakby żywcem z Polski przeniesionych, a mieszczących różne instytucje oświatowe i kulturalne... Tworzyć one będą jakby kawałek ziemi ojczystej, na którym jej ożywcem tchnieniem odetchnąć będą mogli, lecząc się z gnębiącej ich tęsknoty...

Chciał pan Erazm pytać się go jeszcze o coś, gdy naraz rozległo się silne pukanie do drzwi...

– Proszę!... – zawołał Kazimierz Halicz, zdumiony tak późną wizytą. natarczywy

Drzwi się otworzyły, i na progu stanął ów natarczywy gość, który na wieczór wiedział swą

wizytę, a o którym w nawale zajęć zapomniał zupełnie.

– Pan pozwoli? – zapytał, skinieniem głowy witając zebranych.

– Proszę bardzo! – odrzekł sucho Halicz, niezadowolony z tej wizyty – czym mogę panu służyć?...

Nieznamomy spojrział znacząco na pana Erazma i po chwili rzekł z naciskiem:

– Pragnąłbym bardzo porozmawiać z panem sam na sam...

– Proszę, pan będzie łaskaw, przed obecnym tu panem, kuzynem moim, nie mam żadnych absolutnie tajemnic.

Słowa te Halicz wyrzekł zimno, gestem wskazując gościowi krzesło.

Zajął on je, wciąż nieufnie patrząc na pana Erazma, mierzącego go badawczym spojrzeniem.

Chwilę trwało milczenie.

Wreszcie gość ostrożnie mówić zaczął, zadając Haliczowi pytanie:

- Czy pan zawarł kontrakt z Towarzystwem kolonizacji Sahary?...
- Nie – odrzekł zdziwiony tera zapytaniem Halicz – lecz jestem związany z nim czymś więcej niż kontrakt, gdyż słowem uczciwego człowieka...

Gość skrzywił się nieznacznie i dalej mówić zaczął:

- A więc w razie zerwania kontraktu nie grozi panu zapłata odszkodowania. Możemy zatem mówić swobodnie o interesie.

I poprawiwszy się na krześle, rzucił nagle Haliczowi pytanie:

- A jakby znalazł się ktoś, coby panu ofiarował korzystniejsze warunki?...

Zdziwienie odbiło się na twarzy Halicza i bez chwili namysłu odrzekł:

- Tobym je odrzucił...
- A to dlaczego?...
- Powody te już Wyłuszczyłem panu przedtem... Dla nich to nigdy nie przyjąłbym warunków innych, choćby one, nie wiem jak, korzystne mi były...

– Ależ pan nie rozumie własnego interesu! – tłumaczył mu zdumiony tą jego stanowczością gość – toż posiadane przez pana tajemnice, oraz wynalazki dokonane przez niego opłacane być winny na wagę złota... Toż mogą one przynieść tym, co je umiejętnie eksploatować będą, kolosalne zyski... A pan dla jakichś mrzonek, idei, wyrzekasz się ich dobrowolnie... Stawiani teraz kwestję jasno: istnieje konsorcjum kapitalistów, rozporządzających olbrzymimi kapitałami, które chce kupić wszystkie wynalazki pańskie, całą jego wiedzę... Konsorcjum to zaofiarowuje panu olbrzymie warunki, byleś tylko porzucił Towarzystwo kolonizacji Sahary, zerwał z nim kontrakt i cały niepodzielnie oddał się na jego usługi...

Kazimierz Halicz wysłuchiwał tych nęcących propozycji w milczeniu, przez chwilę jakby namyślał się nad odpowiedzią, wreszcie rzekł:

- Przychodząc do mnie z propozycją swoją, zapomniał pan, że będziesz miał z Polakiem do czynienia... A Polacy, to dziwny doprawdy naród... Naród idealistów, naród, który ma zwyczaj, iż zawsze wiemie do-

trzymuje słowa. Z Towarzystwem kolonizacji Sahary związany jestem nietylko względami materialnymi, ile idea, która mi przyświeca, do której dążę, oraz słowem honoru... Z tych względów nęcących pańskich propozycji przyjąć nie mogę i muszę na nie odpowiedzieć odmownie...

Te ostatnie słowa wyrzekł, stojąc, jakby dając tem do poznania gościowi, że dalszej rozmowy z nim prowadzić nie może i że próżneby były dalsze przekonywania...

Zrozumiał to gość, wstał też żywo z fotela, i zwracając się do niego, rzekł z naciskiem:

– A więc odrzuca pan nasze propozycje?.. stanowczo i nieodwołalnie?... Trudno!... przekonywać pana nie będę, lecz ręczę panu, iż przyjdzie chwila, że będzie pan gorzko tej odmowy żałował.

I wyrzekłszy tę pogroźkę, skłonił się lekko Haliczowi i panu Erazmowi i spiesznie wyszedł z pokoju.

Przez chwilę w gabinecie panowało milczenie, wreszcie pierwszy przerwał je pan Erazm, pytając Halicza:

– Kto to być może?...

– Nie wiem... nie wymienił swego nazwiska i przez cały czas rozmowy starannie unikał wzmianki o tem, zarówno jak i o narodowości swojej... Wiem tylko to, że jegomość ten jest osobnikiem nadzwyczaj niesympatycznym.

– Tak – przytwierdził pan Erazm – i mnie wydał się on wielce podejrzany i z ciekawością czekałem na odpowiedź, jakiej mu udzielisz...

– A jakąż inną mogłem mu dać, jeżeli nie odmowną?... – rzekł Halicz – szkoda zresztą czasu na zajmowanie się podobnemi głupstwami. Rozpatrzmy lepiej dokładnie plan budowy nowego kościółka...

I pochyleni nad planami, pocichu naradzać się poczęli, zapominając zupełnie o wizycie tajemniczego gościa...

XII.

WOJNA ŚWIĘTA.

Cicho i spokojnie płynęło życie w Elektropolisie.

Goście, przybyli na poświęcenie, na drugi dzień wyjechali, pełni zachwytu i entuzjazmu dla tego dzieła geniuszu ludzkiego, a pierwszy wyjechał ów tajemniczy gość, czyniący tak korzystne propozycje Haliczowi...

Praca wrzała bez przerwy, a zaprzągnięta do służby ludzom elektryczność pokornie spełniała swe funkcje, jak najposłuszniesza i uległa niewolnica...

Coraz też ze starej Europy przybywały nowe grupy kolonistów, rozmieszczane w przygotowanych już w zupełności na ich przyjęcie domkach.

Ludność miasta cudów coraz bardziej wzrastała, przyczem na ulicach jego coraz więcej można było spotkać postaci o rysach twarzy wybitnie słowiańskich, przyodzianych w szare lub granatowe kapoty, zależnie od tego, z której dzielnicy Polski pochodziły, ciekawie przyglądające się wszystkiemu, co je otaczało.

Pan Erazm, Czesław Halicz oraz pomocnicy ich niezmordowanie uczyli i objaśniali przybyszów o sposobie użycia nowych a nieznanym im narzędzi uprawy roli...

Pojętni wieśniacy w lot chwyтали ich objaśnienia, i w krótkim czasie wszystkie pola. przyległe do Elektropolisu, wzruszone ożywcami prądami siły elektrycznej, płynącej z wieży, uprawione były i zasiane.

Niektóre już nawet zazieleniły się świeżą runią.

Nie mniejszy ruch panował i w zakładach przemysłowych. W licznych fabrykach i kopalniach, do których również tłumnie napływali pracownicy ze starej Europy, praca wrzała, a codziennie odchodziły z Elektropolisu do Algeru pociągi naładowane towarami, radując tam serca akcjonariuszów, liczących na olbrzymie zyski...

Praca w fabrykach i kopalniach również nie należała do bardzo ciężkich. Przedewszystkiem odbywała się w warunkach nadzwyczaj higienicznych.

nych, gdyż Kazimierz Halicz szczególnie nacisk kładł na to; następnie trwała tylko określona ilość godzin, tak ażeby nadmiernie nie wyczerpywała sił robotnika, wreszcie, co najważniejsza, wszystko prawie spełniała siła elektryczna, umiejętnie zastosowana przez Halicza, tak że zadaniem robotnika było tylko kontrolowanie prawidłowości funkcjonowania maszyny...

Resztę wolnego czasu mógł pracownik poświęcić albo nauce, albo rozrywce...

Do nauki miał specjalne kursa wieczorne, gdzie na zmianę albo Kazimierz Halicz, albo Czesław, lub który z pomocników miewali wykłady o elektryczności, z której potężną siłą mieli ciągle do czynienia.

Niezależnie od tego, sprowadzeni specjalnie z Europy profesorowie miewali wykłady z innych dziedzin wiedzy, tak że mieszkańcy Elektropolisu umysł swój rozwijać mogli wszechstronnie.

Dla mniej rozwiniętych istniały kursa początkowe, na których zaznajamiali się z elementarnymi zasadami wiedzy, by następnie przejść wyżej.

A nauka na kursach tych odbywała się w sposób tak zajmujący, tak podniecający i rozbudzający ciekawość słuchaczy, że nie tylko bez żadnego przymusu uczęszczali na nie, lecz nawet z pewną niecierpliwością oczekiwali godziny wieczornej, przeznaczonej na naukę...

Niezależnie od tego istniała szkoła dzienna, do której uczęszczała młodzież i dzieci mieszkańców Elektropolisu...

Tu już zastosowany był przymus, gdyż każde dziecko obowiązkowo musiało przejść zakreślony kurs nauk, zanim mogło stanąć w szeregach pracowników.

Lecz i tu przymus ten był tylko na papierze, gdyż i bez niego dziatwa jaknajchętniej biegła do szkoły, chciwie słuchając wszystkich wykładów nauczycielek i nauczycieli, wzbogacając swój umysł i starając się zasłużyć na pochwałę.

Na rozwój nauki położył najsilniejszy nacisk Kazimierz Halicz i bardzo dbał o nią.

Nauczycieli wybierał starannie, dobierając nie tylko wykwalifikowanych w swej specjalności, ale i dobrych pedagogów i wychowawców, którzyby umieli przykuć i przywiązać do siebie serca uczniów...

Po szkole największą opieką otaczał kościółek biały, wzniesiony na wzgórzu, a oderwanym od ojczystej gleby wieśniakom mający przypominać strony rodzinne; dbał też o miejsca rozrywek.

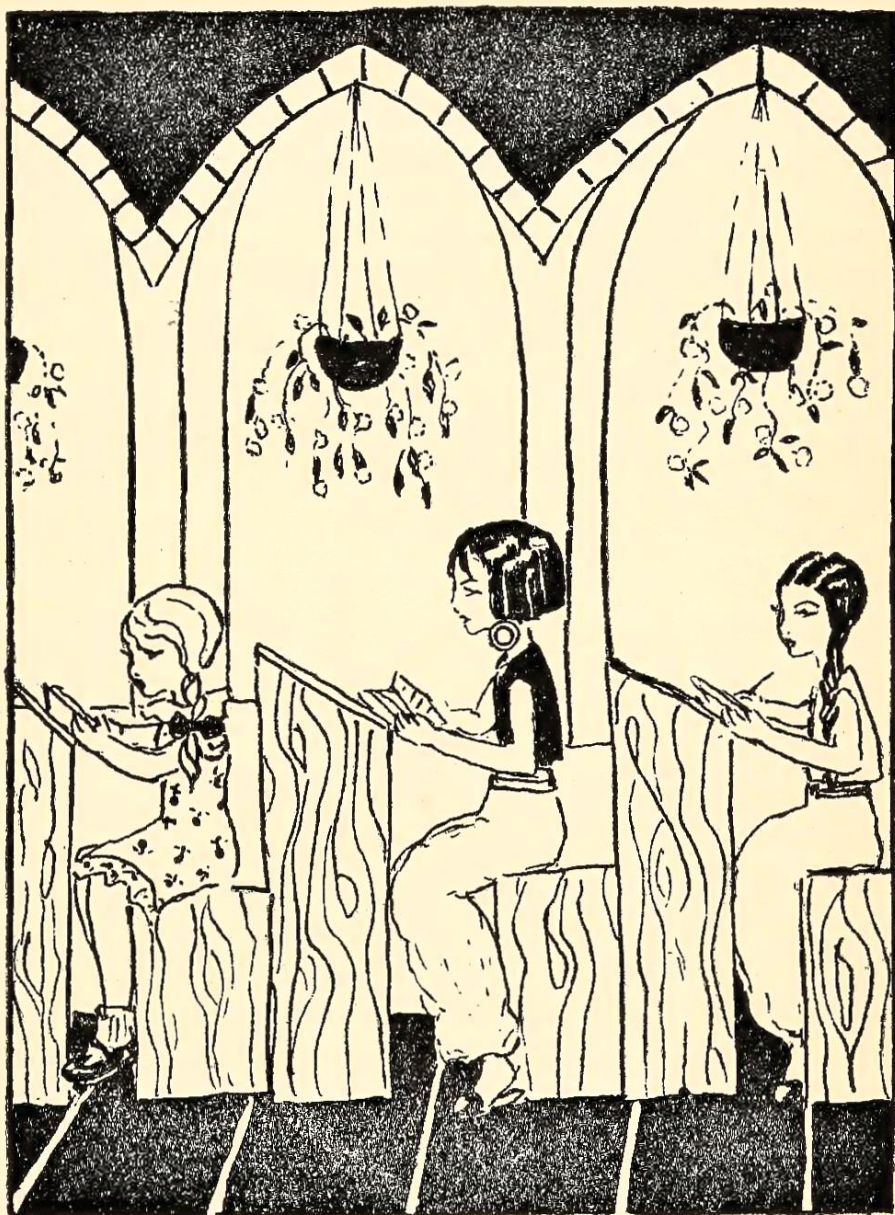
A tych nie brakło w Elektropolisie. Był i teatr, w którym występowali artyści amatorzy z pośród mieszkańców miasta, był i kinematograf, przedstawiający na białym płótnie wszystkie najważniejsze wypadki, rozgrywające się w Europie, była sala odczytowa i koncertowa zarazem, w której od czasu do czasu odbywały się koncerty orkiestry, zorganizowanej z pośród mieszkańców miasta...

Jednym słowem wszystko szło pomyślnie... Nawet Arabi, którzy kolonję całą, pod wodzą Abdula, mieli tuż pod Elektropolisem, mniej nieufnie patrzeć się poczynali na przybyszów z Europy. Powoli zżywać się z nimi zaczęli, a nawet i przyjmowali początki kultury i oświaty europejskiej.

I o nich nie zapomniał Halicz. Dla nich umyślnie sprowadził nauczycieli, którym nie był obcym język arabski, i urządził specjalne wykłady. Garnęli się oni do nich chętnie, i coraz bardziej przywiązując się do swoich europejskich nauczycieli, porzucali żywot koczowniczy, przystępując do pracy na roli.

Przesady i ciemnota znikwały wśród nich, dobroczynne światło wiedzy widocznie odnosiło skutki. Do ogniska jego dopuszczone zostały i kobiety oraz dziewczęta, których wychowanie u Arabów wogóle wielce zaniedbane było.

Jedną z pierwszych uczenie w szkole dla dziewcząt była Ala, chciwie chwytająca wszystko, co tylko wiedza dać jej mogła, ucząca się nadzwyczaj gorliwie i zdolnościami swymi przewyższająca nawet znacznie wszystkie swe europejskie koleżanki.



Jedną z pierwszych uczenic była Aia.

Przywiązała się powoli do swoich opiekunów, a zwłaszcza do Czesława, a już co do Kazimierza Halicza, to tego otaczała wprost jakąś czcią...

Myślał też i on o jej przyszłym losie, zamierzał kształcić ją jak najwyżej, by następnie mogła być pionerką oświaty i postępu wśród swoich niešťczęśliwych, żyjących w ciemnocie i ucisku, sióstr arabskich...

Jedną z pierwszych uczenie była Ala.

Tak stały sprawy po upływie dwóch lat od rozpoczęcia olbrzymiego dzieła Kazimierza Halicza, gdy naraz jakieś alarmujące wieści nadchodzić zaczęły z głębin pustyni...

Wieści te wydawały się tak dziwne i niezrozumiałe, że nikt im wiary dać nie chciał...

Wreszcie pewnego dnia do Kazimierza Halicza przyszedł Abdul, uroczysty i pełen powagi, i skłoniwszy mu się, rzekł:

— Effendi, przybywam, by zwiastować ci rzeczy niezwyklej doniości... Przynoszę ci wieść o wielkim niebezpieczeństwie, które grozi i tobie, i twoim...

— Cóż to takiego? — zapytał z niepokojem Halicz...

— W Timbaktu objawił się nowy Mahdi, który z wielkim zapalem głosi wojnę świętą przeciwko tobie, panie, i dziełu twemu... Tysiące gońców jego rozbiegło się po wszystkich stronach świata, gdzie tylko wiara Mahometa ma swoich wyznawców, wzywając do broni, gromadząc hufce... I wezwanie to odnosi skutek, gdyż w odezwie swej oświadcza on, iż, dokonawszy dzieła swego przy pomocy sił nieczystych, zamierzasz, panie, wszystkich wyznawców proroka zmusić do porzucenia wiary ojców oraz siedzib ojczystych, do zajęcia się uprawą roli... Tysiące derwiszów na rynkach wszystkich miast mahometańskich głoszą tę wojnę świętą i zbierają hufce... Niedługim też jest czas, gdy wyruszą one przeciw Elektropolisowi, by przynieść zagładę i tobie, i dziełu twemu...

Z zaszępieniem, pełnym chmur czołem wysłuchał Kazimierz Halicz te j relacji... A więc to była ta pierwsza nieprzewidziana trudność, o którą mo-

gło się rozbić całe dzieło jego... O ten fanatyzm ludności mahometańskiej, pogrążonej w mrokach ciemnoty...

Fale ich mogą zalać całą pustynię, zgnieść i zniweczyć dzieło jego...

Wiedział dobrze, że z żywiołową potęgą ruchu mas ludowych trudno jest się zmierzyć, zwłaszcza że czuł, iż siły jego zbyt są słabe, by mógł marzyć o stawianiu im oporu.

I umysł jego gorączkowo pracować począł nad obmyśleniem sposobu obrony.

– Skąd dowiedziałeś się o tem?... – rzucił mu zapytanie.

– Głuche wieści jakieś oddawna krążyły już po Saharze, lecz potwierdziła mi je dopiero karawana kupców, dążąca z Timbaktu do Algeru... – odrzekł Abdul.

– A jak na to zapatrują się podwładni tobie Arabowie?... – pytał dalej Halicz.

– Wszyscy, co do jednego, gotowi są stanąć w twej obronie, panie,—odrzekł stanowczym tonem Abdul.

– Jak prędko można się spodziewać na tarcia tych oddziałów? – rzucił znów pytanie Halicz.

– Trudno przewidzieć to, panie, – odparł mu Abdul: – chmury gromadzą się, lecz grom z nich uderzyć może albo zaraz, albo po jakimś czasie... Ostrzegam cię tylko, panie, miej się na baczności, gdyż niewiadomem jest, kiedy burza wybuchnąć może...

Uścisnął gorąco Halicz dłoń Abdula i rzekł:

— Dziękuję ci szczerze za ostrzeżenie... Przedsięwezmę zaraz środki ostrożności, by napad nie zastał nas nieprzygotowanych... Proszę cię tylko, gdybyś znów dowiedział się o jakichś wrogich dla nas zamiarach, zawiadom mnie o nich natychmiast...

– Effendi, – odrzekł spokojnie Abdul, – raz już ci rzekłem, że życie swe chętnie oddam za ciebie, a Arab zawsze słowa swego dotrzymuje...

Jeszcze raz uścisnął Halicz dłoń Abdula, i ten wyszedł z gabinetu.

Halicz, pozostawiony sam, puścił swobodnie wodze myślom.

A więc dziełu jego, dziełu, o którym marzył przez cały szereg lat, już grozi poważne niebezpieczeństwo...

Czyżby po paru latach zaledwie istnienia runąć miało ono pod naciskiem fanatycznych, ciemnych tłumów?... Czyżby idea, której był wyznawcą, miała zostać pokonana?... A co stanie się z tymi tysiącami ludzi, którzy, zawierzywszy mu, porzucili ojczyste strony, by na dalekiej Saharze zdobywać chleb i dobrobyt dla siebie?

Czyżby i oni zginąć mieli w nierównej walce?

To go największą przejmowało troską...

Co robić?...

Nie, zginąć nie można... spokojnie poddać się fali, któraby niosła nas hen! w dal, ku zagładzie, nie wolno... Bronić się, bronić wszystkimi siłami, i choćby zginąć przyszło, nie wolno się poddać... nie wolno ulec... Zgubę swą okupić należy śmiercią wielu nieprzyjaciół...

Ożywiony i porwany tą myślą, odzyskał w jednej chwili osłabłą pod wrażeniem tej piorunującej wieści energję, i przedewszystkiem zawezwać postanowił na naradę pana Erazma, Leblanca, Czesława i paru ze starszych, rozumniejszych mieszkańców miasta.

Przybyli w skupieniu i z powagą wysłuchały relacji o grożącym miastu niebezpieczeństwie, wreszcie pan Erazm rzekł pierwszy:

— Prawda, niebezpieczeństwo jest poważne, niema go co kryć, lecz przeciwnie objawić wszystkim, by do obrony się szykowali... Codziennie teraz należy odbywać ćwiczenia z bronią oraz wysyłać patrole w okolice, by nieprzyjaciel nie zaskoczył nas nieprzygotowanych. A gdy przyjdzie, przyjmiemy go godnie, ale tak, że na długo popamięta to najście...

— Zgadzam się zupełnie ze słowami pana, — przytwierdził Leblanc — lecz, zgodnie z relacją Abdula, widzę, że siły nieprzyjacielskie są bardzo znaczne, i że nas falą swą zaleją, zniszczą, zanim za broń schwytać zdolamy... Uważam, zatem za właściwe zwrócić się do władz francuskich w Algerze, które mają protektorat nad Elektropolisem, a którym ruch ten pośrednio zagraża, by odpowiednią pomoc zbrojną nam nadesłały...

Te słowa milionera spotkały się z ogólnym uznaniem. Wszyscy zgadzali się na nie, i już Kazimierz Halicz wstał, by wydać odpowiednie rozkazy, gdy rozległo się donośne dobijanie do drzwi...

Otworzył je, ze zdumieniem patrząc, co to może być za gość, który tak gwałtownie dopomina się o wejście...

Na progu ukazał się Abdul, zdyszany, zmęczony, z trudem chwytający w płuca powietrze...

– Effendi, – zawołał, stając przed Haliczem – burza się zbliża...

– Jakto?.., – zawołał tenże, nie mogąc ukryć zdumienia.

– W tej chwili był u mnie jeden z derwiszów i oznajmił, że na wezwanie nowego Mahdiego ruszyły się wszystkie plemiona, wyznające wiarę Mahometa, porwały za broń, i ciągną tu, przeciwko wam, a jest ich tak wielu, jak ziarenek piasku w pustyni.... a każdy uzbrojony, każdy przejęty pragnieniem pomsty na was...

Wieść ta mimowolnym dreszczem trwogi przejęła wszystkich...

Tylko Kazimierz Halicz i pan Erazm nie stracili spokoju oraz panowania nad sobą.

– Jak prędko mogą być tutaj?... – zapytał Kazimierz Halicz.

– Za pięć dni, – odrzekł Abdul – gdyż ciągną z całym taborem, a niektórzy nawet z żonami i dziećmi...

Pięć dni... a więc dosyć jest czasu do pomyślenia o obronie.

Kazimierz Halicz w jednej chwili odzyskał całą moc ducha, podniósł głowę do góry i rzekł stanowczym tonem:

– Teraz, panowie, nadszedł czas czynu... Nieprzyjaciel blisko, trzeba przygotować się do przyjęcia go... Gród elektryczny – elektrycznością bronić się będzie... Czesławie, przystąp wnet do pracy... Z całym zastępem ludzi zabierz się do pracy, ja zaś porozumiem się z Algerem, by nadesłali nam odsiecz.

Nikt ani jednym słowem nie zaprotestował. Wszyscy uznawali potęgę ducha i rozumu tego niezwykłego człowieka. Z lekkim ukłonem wychodzili wszyscy z komnaty, oddając się pod komendę Czesława.

Kazimierz Halicz, pozostawszy sam, skierował się do przyrządu telegrafu bez drutu. Nastawił go i próbował połączyć się z Algierem... Usiłowania jednak jego próżnymi były, połączenie nie następowało.

— Czyżby aparat był zepsuty?... — szepnął.

— A może komunikacja przerwana; lecz któżby to uczynił?... Wszak Arabowie zbyt mało się przemyślni, by sami uczynić to mogli... Chyba, że poza nimi stoi ktoś, kto kieruje nimi i pcha ich do walki... Ale kto?...

Zadumał się nad tem, gdy naraz przyrząd dał sygnał... Ucieszony, że być może, nastąpiło połączenie z Algierem, odpowiedział i bacznie śledzić zaczął wąski pasek papieru, na którym aparat wypisywał, co następuje:

„Próżne usiłowania wasze... Jesteście odcięci od świata... Elektropolis czeka zagłada“ ...

XIII.

W OBLICZU WROGA.

Pięć dni upłynęło w Elektropolisie na gorączkowej pracy przy przygotowaniach do obrony. Cała ludność miasta zabrała się do niej, pracując gorączkowo, nie tracąc ani chwili czasu na odpoczynek, jakby rozumiejąc, że w tych zarządzeniach Kazimierza i Czesława Haliczów kryje się ich ocalenie przed zagładą.

Cały plan obrony Elektropolisu nie polegał na budowie wałów ochronnych, z którychby wychylały swe paszcze armaty, ani też rowów, fortów i t. p. urządzeń dawnej strategii... Bynajmniej, tego wokoło Elektropolisu widać nawet nie było, a natomiast gród cały otoczony był siecią drutów na wysokości takiej, że człowiek, przechodząc, musiał się do nich dotknąć.

Także sama sieć drutów i płyt żelaznych rozrzuconą została w piasku pustyni, u podstawy słupów, podtrzymujących pierwsze druty.

Niezależnie od tego, urządzone zostały silne reflektory do rzucania światła elektrycznego, w razie gdyby nieprzyjaciel zamierzał dokonać napaści w nocy.

Szykowano również i aeroplany, by z nich z góry zaatakować wroga.

Praca szła żwawo i zręcznie, wszyscy uwijali się, starając się wykonać ją możliwie spieszenie i dokładnie, wiedząc dobrze, że od tego tylko zawisło ich ocalenie.

Kazimierz Halicz sam osobiście doglądał wszystkiego, wnikając w każdy, najdrobniejszy nawet szczegół, gdyż on tylko jeden, podczas gdy wszyscy łudzili się nadzieją nadejścia pomocy z Algieru, wiedział o tem dobrze, że to nie nastąpi.

Komunikacja kolejowa z Algierem przerwana została jednocześnie z przerwaniem komunikacji telegraficznej.

O pierwszym wiedział ogół mieszkańców, kładąc to na karb zwykłego zepsucia linii, które się prędko da naprawić, lecz drugie tajemnicą dla nich było.

On tylko jeden wiedział, że sprawcami obydwóch wypadków są jedni i ci sami ludzie, którzy Arabów popchnęli do wystąpienia przeciwko nim, a którzy zagładę Elektropolisu mieli na celu.

Prawda, nie zaniedbał niczego ze swej strony, by uzyskać przerwane połączenie z Algierem i stamtąd zdobyć pomoc.

W tym celu wysłał aeroplanem najlepszej konstrukcji jednego z najzdolniejszych lotników, Stefana, owego towarzysza przygód Czesława. Obliczywszy jednak dokładnie czas, jaki on zużyje na przebycie drogi do Algieru, następnie zanim władze miejscowe przygotowują oddziały, wyznaczone do wyprawy i, zanim one przybędą na miejsce wobec zerwania linii kolejowej, przyszedł do przekonania, że nie nastąpi to prędej, jak za dziesięć dni, a do czasu tego Elektropolis stanie się łupem napastniczych band Arabów.

Całą więc swą energję i pomysłowość wyteżył celem odpowiedniego zabezpieczenia miasta i przygotowania obrony.

Po obejrzeniu robót udawał się do laboratorium, gdzie przygotowywał specjalnego systemu bomby, wydzielac mające duszące gazy, a które rzucone z aeroplanów, szerzyć miały zniszczenie wśród Arabów.

Niezależnie od tego w akumulatorach zbiorników elektryczności gromadził olbrzymie zapasy tej potężnej siły, która w walce z nieprzyjacielem niewyciężoną broń stanowić miała.

Z troską i niepokojem śledził bieg robót przy przygotowaniach do obrony, spiesząc się, by wykonać je na czas, by nieprzyjaciel nie zaskoczył ich nieprzygotowanych.

Coraz też wyruszały na wywiady oddziały rekonesansowe, lub też wznosił w przestworza aeroplan, by z wyżyny strzec nadciągającego wroga.

Lecz tymczasem w okolicy spokój i cisza panowały.

Raz tylko Czesław, który udał się na zwiady aeroplanem wzdłuż linii kolejowej, zrujnowanej na znacznej przestrzeni i narazie niezdatnej do

użytku, dojrzał kręcące się wśród wzgórz piaszczystych gromadki Arabów, w białe burnusy przyodzianych. Lecz mogła to być zarówno karawana kupiecka, jak i banda rozbójnicza.

Nie zatrzymując się też nad nimi, prze mknął dalej, wreszcie zawrócił w powietrzu i podążył w stronę Elektropolisu.

Najbardziej nużące było to, że niewiadomem było, z której strony nieprzyjaciel nadciągnie, z której strony spodziewać należy się ataku.

Czuwano też bacznie, na wszystkie strony wysyłając podjazdy, lecz te zazwyczaj powracały z niczem, nie dostrzegając nigdzie nieprzyjaciela.

Na takim dręczącym, pełnym naprężenia nerwów oczekiwaniu upłynęło dni parę, gdy wreszcie w południe do pracowni Kazimierza Halicza dopadł jeden z młodych mieszkańców Elektropolisu, i dobijając się do drzwi, wołać począł:

– Idą... idą!...

Kazimierz Halicz porzucił pracę, którą był zajęty, i wybiegł, by przekonać się o prawdzie słów jego.

Wszyscy prawie mieszkańcy Elektropolisu zgromadzeni byli na wielkim placu w południowej części miasta, i wzrok utkwiony mieli w wyłaniającą się tam na czystym tle nieba obraz.

A widok był to rzeczywiście niezwykły.

Widać tam było olbrzymi tłum ludzki, zbrojny, o dzikim wyglądzie, posuwający się naprzód na wielbłądach, koniach i pieszo.

Nie można było rozróżnić jeszcze ich ubioru i uzbrojenia, lecz zdawało się, że wkrótce, za godzin parę, staną przed miastem i rozpoczną atak.

Na twarzach mieszkańców Elektropolisu odbiła się trwoga. Azaliż zdołają się oprzeć tej przeważającej liczebnie nawale ludzkiej? Czy nie ulegną w walce?

Widok ten trwał około dwóch godzin, i wreszcie, gdy słońce chylić się zaczęło ku zachodowi, rozplywać się zaczął, rozwiewać, a wreszcie zniknął całkowicie.

Okrzyk zdumienia wyrwał się prawie ze wszystkich piersi.

Co się stało? co to znaczy? gdzie się podziały te Hordy napastników?

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę Kazimierza Halicza, który stał nieruchomo, uśmiechnięty zagadkowo.

– Co to jest, panie? Czy to cud jaki? – zapytał go wreszcie jeden ze starszych mieszkańców miasta.

– Żaden cud, moi drodzy! – odrzekł im Halicz: – to zupełnie zwykłe zjawisko w pustyni. Nazywa się ono mirażem lub mamidłem, a pochodzi z tego: wskutek silnego nagrzania grantu – warstwy powietrza przy samej ziemi są najsilniej rozgrzane i rozrzedzone tak że do pewnej wysokości warstwy idą coraz gęstsze, promienie zatem światła, pochodzące od wyżej położonego przedmiotu, ulegają nienormalnemu załamaniu. Do oka obserwatora dochodzi obraz odbity przedmiotu, a odbicie to wywołuje zarazem złudzenie, jakby to był obraz znajdujący się zupełnie blisko.

Mogliście tu z łatwością obserwować taki miraż, który ukazał nam nieprzyjaciela, dążącego przeciwko nam w odległości kilkunastu mil co najmniej.

W każdym bądź razie wiemy jak on wygląda i możemy już zawczasu przygotować się na jego przyjęcie.

Podobne mamidła należą do zjawisk bardzo częstych w pustyni, zwłaszcza często ukazują się spragnionym wędrowcom, mając ich bliskością oazy lub też źródłem wody.

Wojsko francuskie w Egipcie, w roku 1798, cierpiące na dotkliwy brak wody, często łudzone bywało owym pozornym jej widokiem.

I właśnie jeden z uczonych, nazwiskiem Monge, który przyjmował udział w tej wyprawie, wyjaśnić zdołał pochodzenie tego zjawiska.

Niekiedy miraże widzialne są i w okolicach podbiegunowych, zwłaszcza w godzinach rannych. Lecz tam bywają one zwykle górnemi, to jest obraz widzimy odbity odwrotnie, w górze.

Przyczyną tego jest to, że podczas pogody powierzchnia wody silnie się tam oziębia, dolne warstwy powietrza są bardzo zimne i gęste, ku górze zaś gęstość powietrza szybko się rozrzedza, może się więc zdarzyć,

że promienie, pochodzące z dalekiego okrętu, dosięgają tych warstw pod kątem całkowitego odbicia, co daje obraz okrętu odwrócony, nad nim położony. W niektórych okolicznościach widać tylko obraz, gdy sam okręt znajduje się pod poziomem obserwatora i nie jest dla niego widoczny. Niekiedy też pozostaje obraz boczny, jeżeli warstwy powietrza pionowo rozgrzewają się od jakiego muru. Zresztą, łatwo pojąć, że okoliczności mogą tu być rozmaite bardzo, i wywoływać wielką różnorodność zjawisk, jeżeli warstwy powietrza, zasłaniające promienie światła, mieszają się z sobą i promieniom nadają bieg chwiejny, drżący.

W cieśninie Mesyńskiej obserwować się daje zjawisko, należące do tej kategorii, a zwane fatamorgana. Mianowicie z miasta Reggio, patrząc w stronę miasta Mesyny, dostrzega się niekiedy obrazy kolumn, pałaców, wież, które mają być obrazem tegoż miasta, położonego o 13 kilometrów.

Do mirażów zaliczają również i zjawiska, które są prawdopodobnie tylko cieniami, rzuceniami na chmury, albo odbiciem od chmur; takie jest na przykład słynne widmo gór Brocken, w paśmie Harcu, w Niemczech. Podobne widma występują i w innych górach, nieraz też obserwowano je u nas, w Tatrach.

Z zajęciem wysłuchali mieszkańcy Elektropolisu tego wykładu Halicza o mirażach, zapominając zupełnie o grożącym im, a bliskim niebezpieczeństwie.

Spokojnie też udali się do domów, jeden tylko Kazimierz Halicz, w towarzystwie Czesława i pana Erazma, z głęboką zmarszczką na czole, wrócił do pracowni, by naradzić się z nimi nad tem, co dalej czynić należy.

Nieprzyjaciel był blisko; nie ulegało kwestji, że za dwa dni najdalej stanie on pod miastem, by, rzuciwszy się na nie, zgnieść je masą swoją, zawładnąć i do ruiny doprowadzić...

Sytuacja była groźną, zwłaszcza, że miraż dał pojęcie o liczebności wroga.

Co czynić?

Oto pytanie, które dręczyło umysł Halicza. Co czynić, ażeby lekko-myślnie nie narazić na zgubę dzieła rąk swoich, owocu pracy, wysiłku tyłu

ludzi, by nie dopuścić do zagłady tylu istot ludzkich, które mu zawierzyły i znęcone obietnicami przybyły, by pracować nad dalszym rozwojem i rozkwitem jego dzieła.

Z tem zapytaniem zwrócił się do najlepszych i najwierniejszych towarzyszków swoich.

– Walczyć do ostatniego tchu w piersi, – wojowniczo rzucił pan Erazm, wznosząc do góry dumnie głowę, a w oczach jego ukazały się błyski: – trudno, zginiemy, taki nasz los, lecz wróg nie będzie mógł pochwalić się, że bez boju pozwoliliśmy zagarnąć dzieło twoje.

– A ty? – zwrócił się Halicz do Czesława.

– Jabym spróbował przeprowadzić pertraktacje pokojowe. Zwróciłbym się do nich z żądaniem, by wyłuszczyli nam swe żądania, i postanowiłbym, o ile możliwości, uczynić im zadość. Złota nam nie brak... możemy ich zadowolnić.

– A gdy nie przystaną?

– Wtedy walczyłbym z nimi... walczyłbym do ostatniego tchu w piersi, do ostatniej kropli krwi w żyłach... jak mówi dziad Erazm! – z zapamiętaniem zawołał Czesław.

Chwilę trwało milczenie, wreszcie przerwał je pierwszy pan Erazm, mówiąc:

– Rada Czesława dobrą jest, i radzę ci iść za nią, Kazimierzu. Choć młody, większą od nas odznacza się rozważą. Należy wypróbować wszelkie drogi i sposoby, a nuż uda się sprawę całą załatwić bez krwi rozlewu...

– Któż zatem pojedzie jako parlamentarjusz do tej hordy? – zapytał Kazimierz Halicz.

– Ja, stryju!... Znam język arabski dobrze, a także arabskie obyczaje. Pocięszam się nadzieją, że może uda mi się sprawę załatwić pokojowo.

– Bardzo niebezpieczna to rzecz – z troską w głosie rzekł Kazimierz Halicz, – wiesz dobrze, że ludzie ci nie znają zupełnie zasad ludów cywilizowanych, i że nie uszanują w tobie parlamentarjusza. Lęk mnie przejmuję, że może cię spotkać w tej wyprawie jakie nieszczęście.

— Ech, wuju! — odrzekł z uśmiechem Czesław, — nieszczęście spaćkać mnie może i w czasie walki. A nuż uda mi się moje poselstwo ?

— A więc jedź, chłopcze! — rzekł, wstając z miejsca, pełnym wzruszenia głosem Halicz, — a Bóg niech ma cię w opiece swojej!-

Rozeszli się, pełni trosk tajonych, by znów od świtu zabrać się do pracy. Na twarze nałożyli maski pogody i spokoju, by w sercach mieszkańców Elektropolisu nie niecić twogi daremnej.

Praca wrzała w dalszym ciągu, praca gorączkowa nad przygotowaniami do obrony, gdy wreszcie na drugi dzień po ukazaniu się mamidła, jeden z wywiadowców na aeroplanie, młody lotnik, powrócił z wieścią, iż od strony południowej ciągnie niezliczona ćma Arabów.

Wieść ta zelektryzowała wszystkich. W jednej chwili pochwyciono za broń, i wszyscy stanęli w pogotowiu bojowym, gotowi do przyjęcia nadciągającego nieprzyjaciela.

Trwoga gdzieś znikła bez śladu. Wszyscy przejęci byli teraz jednym tylko gorącym pragnieniem zmierzenia się z wrogiem, starcia z niem, bronięcia swej własności przed nim.

Kazimierz Halicz, blady, lecz spokojny, przemówił krótko:

— Nieprzyjaciel się zbliża, — mówił, — nieprzyjaciel nieubłagany, pragnący zagarnąć i zniweczyć to, cośmy wysiłkiem i pracą swoją wznieśli... Nie pozwolimy im triumfować... wszystkich sposobów użyjemy, by się bronić. Lecz przedtem, ażeby uniknąć próżnego rozlewu krwi i niepotrzebnych ofiar, spróbujemy rzecz całą załatwić pokojowo. Wszystkich sposobów użyję, by was ochronić od zagłady, a gdy nie uda mi się to, zgine wraz z wami...

Ta spokojna przemowa przyjęta została przez mieszkańców pełnami entuzjazmu i zapału okrzykami.

— Zginiemy raczej, a nie pozwolimy? by wróg triumfował! Z tobą razem na śmierć, na walkę!... Prowadź nas! — aż wreszcie wszystkie te okrzyki zlały się w jeden potężny:

— Niech żyje Kazimierz Halicz!..

A on tymczasem zajmował wraz z Czesławem miejsce na aeroplanie, chcąc osobiście przekonać się o liczebności wroga.

Wznieśli się w przestworza i lotem ptaka pomknęli w kierunku, wskazanym przez młodego lotnika.

Po przebyciu kilku kilometrów, ujrzeli w oddali kłębiące się rojowisko ludzkie.

Trudno było narazie z odległości określić ich liczbę, lecz musiała ona być znaczną, ciągnęła się bowiem daleko i wszerz, i wzdłuż.

Zawiśli nad nimi, i Kazimierz Halicz przez lunetę począł czynić obserwacje.

Widok był rzeczywiście niezwykły.

Na wezwanie nowego Mahdiego stanęły pod bronią wszystkie nieomal ludy afrykańskie, wyznające wiarę Mahometa.

Widać tam było przedstawicieli wszystkich szczepów arabskich, rozsianych na olbrzymiej przestrzeni, od wybrzeży marokańskich aż do Egiptu, i dalej w głąb Afryki. Wszyscy koczownicy pustyni zbiegli się na wieść o wyprawie, podnieceni do niej raczej nadzieją obfitego łupu, aniżeli sprawą wojny świętej z przybyszami. Gdzieniegdzie widoczne były grupy murzynów, fanatycznych wyznawców Mahometa, pogardliwie traktowanych przez Arabów.

I parła ta nawała naprzód do celu, wskazanego przez Mahdiego.

Szli groźni, połykując w blaskach słońca orężem różnych kształtów i z różnych epok pochodzącym, od starożytnych skałkówek począwszy, a na ostatniego systemu karabinach skończywszy.

Kazimierz Halicz usilnie przez lunetę upatrywał w tym tłumie Mahdiego. Zrazu nie mógł go odnaleźć, aż wreszcie uwagę jego zwróciła grupa, dążąca jakby w odosobnieniu w samym środku tej tłuszczy.

Składała się ona z kilku osób, siedzących na wielbłądach. W samym środku tej grupy znajdował się wysmukły Arab, o twarzy ściągłej, okolonej czarnym zarostem, z oczyma płonącymi jakby ogniem wewnętrznym. Siedział on na białym zupełnie wielbłądzie, owinięty w biały burnus,

szerokimi fałdami opuszczający się w dół, z wzrokiem utkwionym w przestrzeń.

Otaczający go zwracali się do niego z szacunkiem, a oczy wszystkich Arabów spoczywały na nim z wyrazem cichego uwielbienia.

Z tych oznak domyślił się Kazimierz Halicz, że to jest ów groźny Mahdi.

– Proszę cię, przyjrzyj mu się, – rzekł do Czesława, oddając mu lunetę.

Czesław począł się przyglądać przesuwającemu się dołem tłumowi Arabów, szczególną uwagę zwracając na grupę, otaczającą Mahdiego.

Kazimierz Halicz, chcąc mu ułatwić obserwacje, zniżył jeszcze więcej lot aeroplanu.

Naraz z ust Czesława wyrwał się cichy okrzyk:

– To Jussuf!...

Kazimierz Halicz, który dobrze był powiadomiony o wszystkich poprzednich jego przygodach, z ciekawością spytał:

– Który to?

– Ten Arab, który znajduje się najbliżej Mahdiego, – odrzekł mu Czesław, – lecz kto może być ten drugi, w białym burnusie, który podąża z drugiej strony Mahdiego, a teraz opowiada mu coś z takim ożywieniem, wskazując na nas?

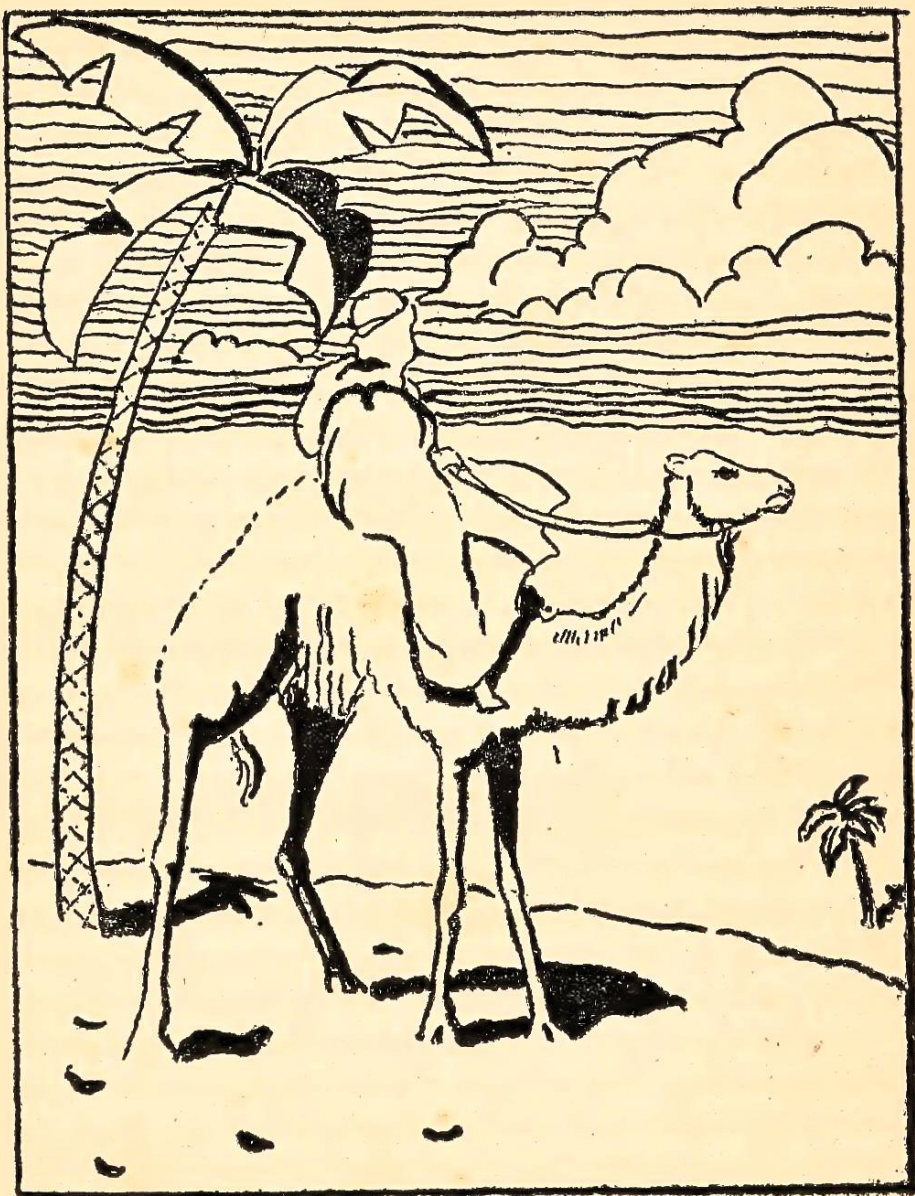
Aeroplan opuścił się jeszcze niżej, tak że Czesław mógł dokładniej obejrzeć rysy twarzy tajemniczego Araba.

– Ależ to ten zagadkowy Europejczyk, -zawołał – któremu Jussuf służył za przewodnika...

Kazimierz Halicz wziął z rąk jego lunetę, i przez nią przyglądać się począł tajemniczej postaci.

Po chwili i z jego ust wydarł się okrzyk:

– To ten sam, który mnie czynił tak świetne propozycje. To on... poznaję go.



Siedział na białym wielbłądzie, owinięty w biały burnus.

Teraz część zagadki stała się dla nich jasną. Ten wrogi ruch Arabów przeciwko nim nie był naturalnym wybuchem, lecz został wywołany sztucznie przez kogoś, co miał w tym cel.

Ale jaki?

To pozostawało dla nich zagadką, nad rozwiązaniem której napróżno się biedzili.

Tymczasem wśród Arabów na widok krążącego w przestworzach, tuż nad ich głowami, aeroplanu zapanował ruch niezwykły.

Siedział na białym wielbłądzie, owinięty w biały burnus.

Przeżalenie odbiło się na ich twarzach, i tylko niektórzy, śmielsi, groźnie spoglądali na nieznane zjawisko.

Na widok jego Jussuf wydawać zaczął jakieś rozkazy, i wnet wokoło niego zebrało się kilkudziesięciu Arabów, uzbrojonych w karabiny najnowszych systemów.

Rozległ się głos komendy, w stronę unoszącego się w przestworzach aeroplanu wyciągnęły się błyszczące lufy karabinów, nastąpił wnet potem głuchy huk, i grad kul ze świstem przeleciał obok śmiałych lotników.

– W górę!... – zawołał dzwięcznym głosem Kazimierz Halicz, i w jednej chwili aeroplan, jak rumak szlachetny dotknięty ostrogą, wzniósł się prawie prostopadle do góry, ginąc w przestworzach.

Widzieli tylko dym, snujący się z karabinów po drugiej salwie, lecz kule nie dosięgły już ich, na tak znacznej znajdowali się wysokości.

– Wracamy! – zawołał Kazimierz Halicz i skierował aeroplan w stronę Elektropolisu.

Oczy jego płonęły, a na całym obliczu wryta była stanowczość... Teraz, gdy widział wroga zbliska, wiedział, co ma czynić. Wahanie się znikło, a miejsce jego zajęła stanowcza decyzja walczenia z nieprzyjacielem do ostatniego tchu w piersi.

Zobaczywszy go, przekonał się, że z takim nieprzyjacielem traktować o pokój nie opłaca się, że nie przystanie on na żadne warunki... Spojrzał na Czesława i spytał go krótko:

– Pójdziesz?

— Pójdę — odrzekł tenże, — pójdę, żeby nie wiem co... Jeżeli nie przekonam ich, ażeby cofnęli się, to przynajmniej zbadam ich siły, a przede wszystkim dowiem się może, jaką rolę wśród nich odgrywa ten Europejczyk... W każdym bądź razie znajdę sposób porozumienia się z wami.

Aeroplan lotem strzały mknął z powrotem do Elektropolisu. Stanąwszy na miejscu, Kazimierz Halicz powiadomił wszystkich o zbliżaniu się Arabów, nakazując zarazem, by wszyscy z bronią w ręku zajmowali zawczasu wskazane stanowiska.

Ta bliskość niebezpieczeństwa, i to tak groźnego, podziałała uspokajająco na ogół. Bez słowa oporu lub obawy wszyscy zajmowali swe miejsca, szykując się do śmiertelnej walki.

XIV.

W NIEWOLI.

Jak morze rozlały się wokoło Elektropolisu nieprzeliczone mrowia Arabów, groźnych i rozfanatyzowanych.

Czekają tylko na rozkaz Mahdiego, by rzucić się na leżące przed nimi miasto, by zanieść zagładę miastu, zda się, napozór martwemu i bezbronnemu.

Lecz co to?

Od strony miasta ukazuje się biała chorągiew, rozlega się donośny odgłos trąby, a jednocześnie czyjś głos potężny, taki, że go wszyscy niemal Arabowie posłyszeć mogą, mówi po arabsku:

„Kazimierz Halicz, wódz mieszkańców Elektropolisu, pragnie mówić przez posła z Mahdim, potężnym wodzem wiernych. Czeką na odpowiedź przychylną, by poseł, którego życie powierza się honorowi Mahdiego, przybyć mógł przed oblicze jego. Odpowiedzią tą będzie trzykrotne wzniesienie do góry chorągwi proroka”.

Dobiegło pytanie to do uszu Mahdiego, i dziwne na nim wywarło wrażenie. Znać było na obliczu jego, że przejął go trwoga ów głos tajemniczy, a tak potężny, dobywający się niewiadomo skąd. Obejrzał się też na towarzyszków swoich, jakby od nich chcąc zasięgnąć wskazówki, jakiej odpowiedzi ma udzielić.

— Trzeba ich wysłuchać, — rzekł ów zagadkowy Europejczyk w przebraniu Araba, — a nuż oddadzą nam miasto bez walki... Może ułękli się potęgi naszej!...

Uspokoili te słowa Mahdiego, dał znak, i zielony sztandar proroka trzykrotnie powiał w powietrzu.

W tejże chwili, jakby tylko oczekując na ten znak, z Elektropolisu wyjechała grupa trzech jeźdźców z białym sztandarem na czele, mknąca w stronę obozowiska Arabów.

Składali ją: Czesław, jako główny poseł, oraz Henryk i Said, jako towarzysze jego.

Zbliżyli się do Mahdiego i, zsiadszy tuż przed nim prawie z koni, po-deszli dla złożenia zwykłych salemów.

— Panie, — rzekł potem Czesław tonem spokojnym, ogarniając wzrokiem otaczające go nieprzeliczone mrowie Arabów, — przybyłeś tu z potężnymi siłami, by nieść zagładę miastu i tym, którzy tylko dobro wasze na celu mają. Myśmy nie przyszli tu z wojną, przybyliśmy w pokoju, by pracą swą i zabiegami usilnymi uczynić owocodajnymi bezpłodne piaski pu-styni, by podnieść dobrobyt rodaków twoich, panie... Przybyliśmy tu w pokoju, i w pokoju żyć pragniemy z wami... Powiedz, panie, co żądasz od nas, a chętnie to uczynimy, by uniknąć krwi rozlewu?...

Utkwił w twarzy jego błyszczący wzrok Mahdi i świszczącym głosem, jakby zawczasu wyuczoną lekcję, rzekł:

— Oddajcie nam miasto swoje wraz ze wszystkim, co się w niem znajduje, a sami idźcie precz z ziemi naszej, szczęśliwi, że życie unosiście. Na tych warunkach przystaniemy na pokój.

— Czy to ostatnie twe słowo, panie? — spytał z godnością Czesław.

— Ostatnie! — odrzekł Madhi.

— A więc wiedz o tem, że do ostatniego tchnienia w piersi bronić będziemy miasta, a dobrowolnie nie oddamy go na zagładę.

I rzekłszy to, skierował się już do towarzyszków, by wracać do miasta, gdy wśród Arabów rozległy się głosy:

— Nie puszczaj gjaura... Jeńcem on naszym...

I nim Mahdi zdążył choć słowo wyrzec, tłum Arabów rzucił się na Czesława i towarzyszków jego, w okamgnieniu powalił ich na ziemię, i nim spostrzec się zdołali, zostali skrępowani i uniesieni.

Napad był tak nagły i niespodziewany, że gdy odzyskali przytomność, znajdowali się już wśród obozowiska Arabów, ze związanymi rękami i nogami, złożeni na piasku i pilnie strzeżeni przez zbrojnych od stóp do głów Arabów.

Całej tej sceny bezsilnym świadkiem był Kazimierz Halicz. Zawrzał też na ten widok niepohamowanym gniewem i przez tubę specjalnej konstrukcji, której głos rozchodził się tak daleko, zawołał:

— Mahdi!... pogwałciłeś nietykalność poselską... postąpiłeś wbrew prawom, które nawet dzikie ludy szanują... Teraz między nami walka na śmierć i życie, i przysięgam, że jeżeli choć włos z głowy jeńcom waszym spadnie, z posród was nikt żywym stąd nie ujdzie... Walka się zaczyna...

I w tejże chwili, na dany znak, wzniosły się w przestworza lotne ptaki powietrzne — aeroplany, i szerokie zakreślając koła, pomknęły w stronę obozowiska Arabów.

Stali ci nieruchomo, z wrokiem utkwionym w górę, ścigając nim zwroty latawców. Lecz co to? Gdy znalazły się one nad samym obozowiskiem, oderwały się od nich drobne, czarne punkciki i runęły na ziemię.

Rozległ się huk, trzask donośny, którym towarzyszył krzyk przerażenia i jęk bólu, rażonych pociskami napastników. Rozbiegli się na wszystkie strony Arabowie, w ucieczce szukając ratunku, lecz wtedy rozległ się sygnał: do ataku!

Zbrojne tłumy Arabów, jakby w domach miasta chcąc szukać ratunku, rzuciły się na nie, pewne łatwej zdobyczy, gdyż żaden mur go nie broił, żaden wał nawet. Okalał je tylko pięciokrotnie drut błyszczący, na różnej umieszczony wysokości.

Dopadły do niego tłumy Arabów, by porwać tę jedyną przeszkodę i dostać się do upragnionego celu.

Lecz co to?

Dłonie ich schwytały drut, lecz mimo wszelkich wysiłków puścić go nie mogą. Mimowoli trzymać muszą go mocno, a w ciele całym dziwnego doznają uczucia, jakby uderzenia silne jakiegoś, jakby siła jakaś tajemnicza schwytała ich i trzyma z całej mocy, nie myśląc nawet puścić, biorąc do niewoli.

I strach błądy wykrzywił ich twarze, i miotać się poczęli, i szarpać, lecz bezowocnymi były ich usiłowania. Drut trzymał mocno i ani myślał ich puścić.

Widząc to, podążające po za nimi szeregi zatrzymały się bezładnie, nie wiedząc co robić? Z przodu zagradzał im drogę tłum współbraci, przykuty przez tajemniczą piłę do okalających miasto drutów, z góry znów raziły ich pociski, miotane z aeroplanów.

Co robić? Na twarzach większości odbił się lęk, i już zawracali do ucieczki, gdy od strony Mahdiego ukazali się jeźdźcy, nawołujący do ataku, do strzelania.

Wymierzyli więc z karabinów i strzelać poczęli. Salwa za salwą rozbrzmiewały w powietrzu, grad kul sypał się na miasto, lecz szkody żadnej nie wyrządzał; padały ofiarą tylko szyby najbliższej leżących domostw oraz ściany ich podziurawione, jak sito.

Natomiast salwy mieszkańców Elektropolisu, którzy, zabezpieczeni w swych kryjówkach, jak na dłoni mieli przed sobą rozszalały tłum Arabów, były morderczymi dla nich.

Kule ich nie szły na próżno. Za każdym strzałem padał jeden z napastników, lecz na miejsce jego stawały wnet dziesiątki innych.

Zdawało się, że mimo wielu, wielu ofiar, liczba atakujących Arabów nie zmniejszyła się, a przeciwnie rosła z każdą nieomal chwilą.

Już aeroplany wyczerpały swój zapas pocisków i tylko krążyły w przestworzach, gdy, wreszcie zmrok zapadł.

W obozowisku Arabów rozległy się dźwięki rogów, sygnał do odwrotu, i zdziesiątkowany tłumy ich, ostrzeliwując się jeszcze w odwrocie, cofać się poczęły.

Pozostali tylko przykuci do drutów tajemniczą siłą, wyczerpani ustawicznym szarpaniem się, Arabowie.

Stali już bezsilnie, wstrząsając się tylko od czasu do czasu pod działaniem tajemniczej siły, przebiegającej z drutu przez ich ciało.

Szeroko rozwartymi z trwogi oczyma patrzeli w ślad za oddalającymi się towarzyszami, jakby błagając ich o pomoc, o wybawienie.

Lecz ci głusi byli na ich wezwanie. Cofali się, radzi, że życie unoszą w całości, zapominając o nich, pozostawiając ich na pastwę losu.

Naraz ci nieszczęśliwi poczuli, że dzieje się coś tajemniczego. Działanie tajemniczej a potężnej siły ustało, ręce ich, choć zdrętwiałe i sztywne, stały się wolne, puściły drut przekłuty, do którego przykute były wbrew ich woli.

Radość ich ogarnęła bezgraniczna. Nie oglądając się nawet poza siebie, rzucili się do ucieczki, potykając się o ciała poległych współbraci, mknąc do obozu, w którym jedyny ratunek i ucieczkę widzieli.

Mrok otulił ziemię, okrywając zasłoną swą wszystko. W obozie Arabów cisza zapanowała głucha. Nie słychać było okrzyków radości i triumfu, nie cieszą się zawczasu ze zwycięstwa, z pokonania gjaurów.

Gdzieniedzie tylko płonęły ogniska, gdzieniedzie tylko rozlegał się płacz i zawodzenie.

To jakiś ranny Arab opatrywał swą ranę, to jakaś Arabka opłakiwała męża swego lub syna, poległego w walce.

Czesław Halicz i towarzysze jego, skrępowani i pozostający pod strażą, ciekawie i z niepokojem przysłuchiwali się przebiegowi walki.

Widzieli krążące po przestworzach aeroplany i sprawione przez nich zniszczenie, słyszeli ryk przerażenia przykutych do drutów Arabów oraz rechotanie salw karabinowych. Z siły ich tylko wnioskować mogli o wyniku walki.

Serca ich ścisnęły się boleścią na myśl, że może w oblężonym mieście walczą już ostatkiem sił. Najwięcej bolało ich to, że nie mogą się znaleźć tam, na terenie walki, by przyjąć w niej udział, by wspólnie z innymi pierśią swą bronić miasta, które było ich dziełem.

Gorączka ich opanowała, na próżno jednak silili się zobaczyć choć cośkolwiek. Nic a nic widzieć nie mogli, gdyż zasłaniał im widok miasta tłum Arabów, stojących przed nimi.

Dopiero, gdy zmierzch zapadł, gdy ucichło rechotanie salw, z okrzyków powracających z terenu walk Arabów, poznali, że zostali oni pokonani, że miasto się trzyma.

Odetchnęli z ulgą.

A tymczasem groziło im poważne niebezpieczeństwo. Tłum Arabów rozwścieczonych otoczył kołem Mahdiego, dopominając się ich śmierci.

Już miał ulec ich żądaniom Mahdi, gdy wystąpił naprzód ów Europejczyk w arabskim przebraniu i rzekł:

– Nie ustępuj im, panie... Niewolnicy ci niezmiernie są cenną zdobyczą dla nas. Trzymając ich w rękę, dyktować możemy warunki miastu. Śmierć ich do większej jeszcze zaciętości pobudzi obrońców miasta.

Przyznał mu słuszość Mahdi, a nie chcąc wprost odmową zrazić tłumowi swych walecznych, odrzekł im:

– Idźcie w pokój. Godzina zemsty nad gjaurami nie wybiła jeszcze. Allah ją sam wskaże.

Słowa te zadowolniły i uspokoiły wzburzony tłum, który się cofnął do ognisk swoich.

Życie Czesława i towarzyszków jego przedłużone zostało o godzin parę.

Leżeli z przymkniętymi oczyma, nie myśląc o strasznym swym losie, szczęśliwi, że Elektropolis nie uległo przewadze wrogów, że trzymało się jeszcze. Sen ich morzyć zaczął, tak samo, jak i strażników, którzy, wsparci o broń, kiwali się sennie, podobni w swych białych burnusach w zmroku nocnym do widm fantastycznych.

Naraz Czesław poczuł, że więzy na nogach jego zelżały, że ktoś dotyka się ramienia jego, wreszcie poczuł gorący czyjś oddech na twarzy swej i posłyszał szept:

– Effendi... jesteś wolny... otul się w burnus i uchodź do miasta... uchodź czempredzej.

Otworzył oczy, zdumiony tem wszystkim, i z trudem poznał w mroku nocy Alę, która, pełzając przy nim, przecinała jednocześnie nożem jego więzy.

– A oni? – zapytał się jej, wskazując na leżących obok towarzyszków niewoli.

– Nie troszcz się o nich, effendi!... – odrzekła szeptem Ala, – uchodź sam!..



...z trudem poznał w mroku nocy Aię...

— Nie — stanowczo odrzekł Czesław, — bez nich nie pójdę! Zwolnij i ich z pęt, uciekniemy razem. Strażnicy śpią, zdołamy się przemknąć.

Posłusznie Ala przesunęła się do Henryka i Saida, przecięła im więzy na rękach i nogach, szeptem informując, co mają czynić.

Nie upłynęła nawet i minuta, gdy cztery cienie, po cichu, bez szmeru prawie i pełzając po ziemi, wymknęły się z koła pilnujących ich a uspio-nych straży.

Otuleni w białe burnusy, czyniące ich podobnymi do Arabów, prze-śliźnili się przez obóz, i minawszy strażę, śpiesznie dążyć poczęli w stronę skapanego w potokach elektrycznego światła Elektropolisu.

Dopiero, gdy znaleźli się daleko od wszelkiego, mogącego im grozić niebezpieczeństwa, zapytał się Czesław Al, jakim cudem dotarła do nich.

— Bradzo prostym sposobem, — odrzekło dziewczę, podnosząc na niego swe oczy gazelli,— gdy wiadomem się stało, żeście, effendi, dostali się do niewoli, pierwszą myślą moją było uwolnić was za wszelką cenę. Czekałam tylko na odpowiednią chwilę. Nadarzyła się wtenczas, gdy tłum Arabów po raz pierwszy przypuścił atak do miasta, i przykuty do drutów, napróżno uwolnić się usiłował. Skorzystałam z tego i mnie tylko znanem przejściem wymknęłam się z miasta, i zamieszana w tłum Arabów dosta-łam się do obozu.

Tam z łatwością odnalazłam was, effendi, lecz bałam zbliżyć się, by-ście jakim ruchem nie zdradzili mnie i nie popsuli z takim mozołem ułożo-nego planu. Widziałam też przerażenie Arabów, którzy nie spodziewali się takiego oporu, słyszałam słowa ich, że szatani mocą swą bronią mia-sta i że wierni nie dadzą mu rady.

Gdy zmrok zapadł, uwolniłam was.

Nie miał czasu pytać się jej o więcej szczegółów, gdyż znaleźli się właśnie przed drutami, okalającymi miasto.

Zatrzymali się, gdyż z powodu przebiegającego przez nie prądu elek-trycznego o silnem bardzo napięciu dotknięcie się ich groziło poważnem niebezpieczeństwem.

Lecz i temu potrafiła zaradzić Ala. Wydobyła z pod burnusa przezornie wziętą parę rękawic gumowych, podała je Czesławowi, mówiąc:

– Rozsuńcie, effendi, druty tak, by towarzysze wasi między niemi przedostać się mogli.

Uczyliń tak Czesław, i po chwili wszyscy znaleźli się w obrębie miasta, wolni narazie od grożącego im niebezpieczeństwa.

Radość Kazimierza Halicza, gdy ujrzał bratanka i towarzyszków jego wolnymi, nie miała granic.

Brakło mu wprost słów pochwały dla odwagi bohaterskiej Al, która, nie słuchając ich nawet, uciekła do chatki, którą zajmowała ze swoją opiekunką.

Radość tę ich mąciły tylko dwie rzeczy.

Straszny, zaciekły atak Arabów na miasto nie obył się bez ofiar. Od kuli ich padło pięciu obrońców, rannych zaś było kilkunastu, między nimi zaś znajdował się i pan Erazm, rażony kulą w pierś akurat w chwili, gdy prowadził oddział swój do boju.

Spoczywał teraz w pokoju swoim, opatrzony przez lekarza, pod opieką jednej ze starszych kobiet, zupełnie świadomy swego stanu.

Dowiedziawszy się o powrocie Czesława, zażądał, ażeby przyszedł do niego, i ze skupieniem i uwagą wysłuchał jego sprawozdania.

– Dzielna dziewczyna... dzielna... – wyszeptał, gdy tenże skończył opowieść o bohaterskim czynie Al.

A potem, zwracając się do Kazimierza Halicza, rzekł cichym głosem:

– Dość już tych ofiar... Starajcie się rzecz całą załatwić polubownie, przekonajcie o swych dobrych chęciach tych nieszczęśliwych Arabów, obałamuczonych przez swych wodzów...

Skłonił się tylko w odpowiedzi na to żądanie Kazimierz Halicz i po cichu wyszedł wraz z Czesławem z pokoju, by dłuższą rozmową nie nużyć rannego, który potrzebował wypoczynku i spokoju.

XV.

CUDOTWÓRCA.

Wielki gwałt powstał w obozie arabskim, gdy obudzone ze świtem strażę spostrzegły brak tak bacznie strzeżonych niewolników.

Leżące na ziemi, przecięte więzy, świadczyły o tem, że tam byli, że jednak znikli w zagadkowy sposób w ciągu nocy.

Straże struchlały na ten widok i nawet słówka nie rzekły, gdy towarzysze porwali je, by poprowadzić na sąd przed Mahdiego.

Lecz i tam zamieszanie panowało nielada.

Oto rankiem znaleziono najbardziej zaufanego z przybocznych Mahdiego Jussufa, leżącego martwym w namiocie, a w piersi jego tkwił sztylet.

Nic dziwnego też, że wobec tak dziwnych wypadków nikt z oblegających nie myślał nawet o atakowaniu miasta, które ciche, spokojne, zdawało się być martwe.

Słońce już wysoko podniosło się na niebie, gdy od strony Elektropolisu, rozległ się znów ów zagadkowy dla Arabów, a tak przerażająco silny głos:

— Mahdi... Mienisz się cudotwórcą i tem obalamucasz lud swój i wiedziesz go na zagładę... Dowiedz, że nim jesteś naprawdę. Wykonaj cud jaki w obliczu oddanego ci tłumu. Dostyc rozlewu krwi, dostyc ofiar. Wiedz o tem, że bronić się będziemy do ostatniego tchu, i że legnie waszych wielu jeszcze, zanim gród nasz zdobyć zdołacie. Pragniemy uniknąć tego i w tym celu proponujemy pojedynek. Tyś cudotwórca, i my ze swej strony również delegujemy cudotwórcę; który z was cudu dokona, ten zwycięży.

Umilkł głos, a Mahdi bezradnie rozglądał się wokoło. Brakło przy nim Jussufa, rady którego zasięgał zwykle we wszystkich trudnych chwilach. Kierujący nim cudzoziemiec kręcił głową przecząco, na znak, by się na warunek ten nie zgadzał, lecz inną była postawa otaczającego ich tłumu.

Słyszeli oni te słowa, i z twarzy ich łącno wyczytać można było, że dość mają tego bezowocnego szturmowania, że wczorajsza walka, okupiona tyloma ofiarami, przeraziła ich dostatecznie.

Rozległy się też pojedyncze głosy:

— Zgódź się na to... Zgódź... Dość krwi rozlewu... Pokaż swą moc... swą potęgę... Dowiedz, żeś silniejszy od niewiernego gjaura...

I odgłosy te rosły, potężniały, wreszcie zrosły się w jedną potężną całość.

Biedny Mahdi nie wiedział, co czynić. Nie mógł wystąpić wbrew woli swych wiernych, gdyż wtedy odwróciliby się oni od niego, i w jednej chwili upadłaby cała władza i potęga jego. Przystać znów na warunki Elektropolisu, znaczyło to samo, gdyż czuł, że z pojedynku tego zwycięzcą nie wyjdzie.

Wahał się jeszcze przez chwilę, wreszcie skinął głową na znak, że na propozycję przystaje.

Wnet jeden z drużyny dosiadł konia i, porwawszy białą płachtę, wycmachując nią, jak sztandarem, podążył w stronę drutów, otaczających Elektropolis.

Zatrzymał się w przyzwoitej od nich odległości, i wciąż machając płachtą, zawołał:

— Potężny Mahdi, wódz nasz, przyjmuje wyzwanie wasze, gjaurzy, oby Allah zagładę zesłał na głowy wasze.

I zawoławszy tak, zawrócił konia i uciekł do swoich.

Zaczęto robić przygotowania do tego oryginalnego pojedynku.

Zwarty tłum Arabów utworzył koło, w środku którego znajdował się Mahdi, w białym swym Burnusie, gorącemi modłami wzywający pomocy Allaha.

Od strony Elektropolisu ukazało się tylko dwóch ludzi: Czesław i Henryk.

Widok tych dwóch niewolników wczorajszych, w tak tajemniczy sposób uwolnionych z pęt w ciągu nocy, jeszcze więcej utwierdził Arabów w wierze, iż są oni cudotwórcami.

Z tem większą też troską i obawą spoglądali na modlącego się żarliwie Mahdiego. Wielu z nich wraz z nim modlić się poczęło, wzywając pomocy Allaha dla niego, dla ukarania giaurów.

Nastała chwila pełna napięcia... chwila oczekiwania czegoś nadzwyczajnego... Oczy wszystkich utkwione były w Mahdim, spowiniętym malowniczo w zwoje białego burnusa, oraz w dwóch postaciach młodych ludzi, w skromnych, szarych ubraniach.

Czesław, który był inicjatorem całego tego pomysłu, trzymał w ręku dwie pałeczki, jedną szklaną, drugą zaś stalową.

Modlitwa Mahdiego trwała długo bardzo. Na twarzach młodych ludzi malować się poczęło zniecierpliwienie, które powoli udzielało się i otaczającym ich Arabom.

Rozległy się pojedyncze głosy:

– Ukaż cud... Pokaż swą moc i potęgę... Upokorz giaurów... Nie daj triumfować giaurom nad wiernymi wyznawcami proroka!..

A gdy głosy te stawały się coraz silniejsze, coraz większej nabierały mocy i potęgi, wstał Mahdi z kolan, i ostatnim, błagalnym ruchem wyciągnął rękę do nieba.

Lecz pozostało ono milczące. Żaden znak nawet nie wskazywał, że żądany cud stać się może.

Chwilę trwało pełne napięcia i uroczystej ciszy oczekiwanie, wreszcie z gardła Mahdiego wybiegły zdławione, połączone z łkaniem, słowa:

– Allah odwrócił odemnie zagniewane oblicze swoje... odebrał mi moc moją... Bezsilny jestem, jak dziecię słabe, lub jak starzec nad grobem stojący...

Wtedy wystąpił na środek Czesław, i dawszy znak otaczającym, by rozstąpili się, wyciągnął rękę, zbrojną prętem stalowym, ku niebu.

W jednej chwili, choć dzień był jasny, słoneczny, potężny blask olśnił wszystkich zebranych, i olbrzymia błyskawica przecięła niebo.

Arabowie cofnęli się w przerażeniu.

Wszakże to był cud, widoczny cud, którego napróżno spodziewali się od swego Mahdiego...

Ogarnięci lękiem zabobonnym padli przed Czesławem na kolana i, wyciągając ku niemu ręce, wołali:

— Tyś Mahdi nasz... Rozkazuj nam... Tobie Allah oddał część władzy i mocy swojej...

Uśmiechnął się lekko na te ich wykrzykniki Czesław, uśmiechnął się i Henryk.

Im jednym wiadome były źródła tej tajemniczej siły. Oto Kazimierz Halicz z wieży, służącej za zbiornik elektryczności w Elektropolisie, słał w ich stronę tak potężne prądy, że z łatwością ów rzekomy cud wykonać mogli.

Elektryczność to sprawiła, że ukazała się błyskawica.

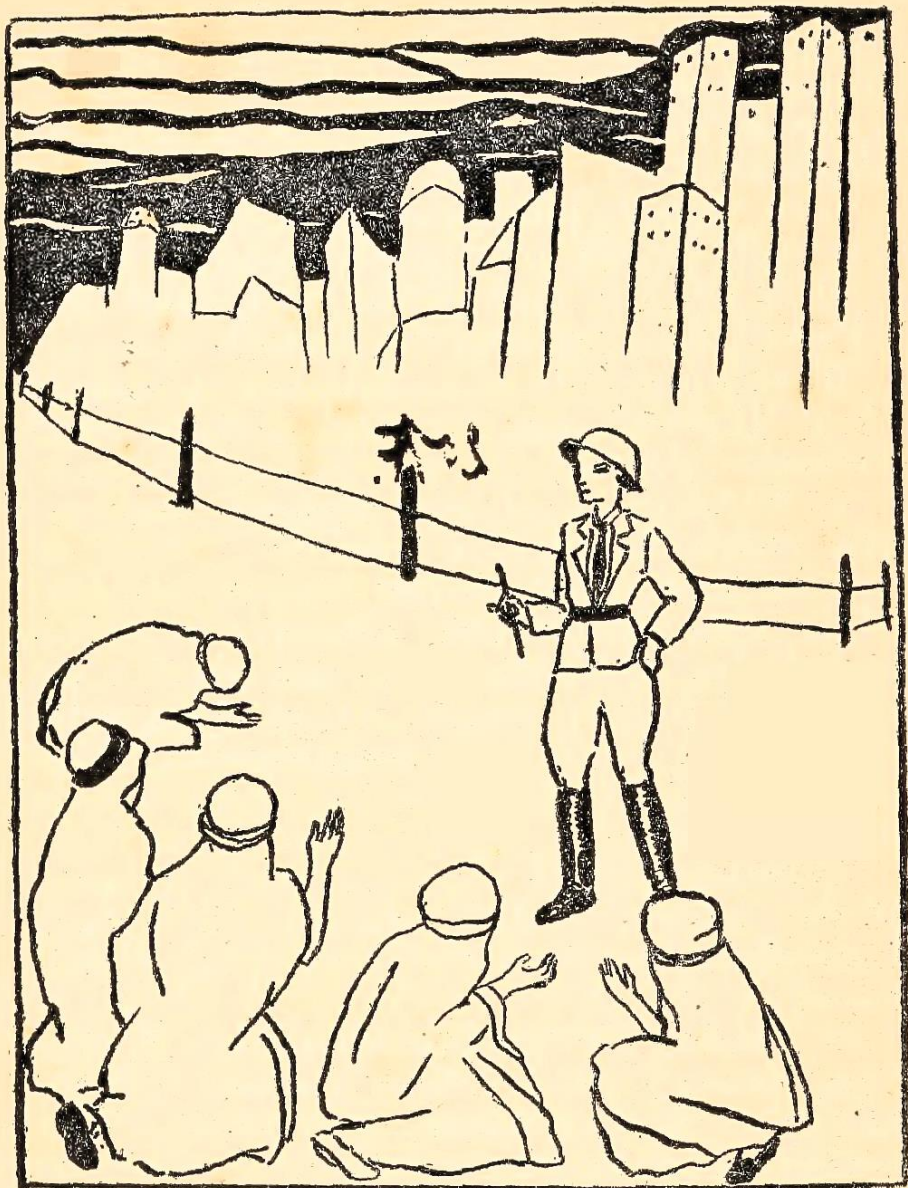
Lecz ciemni, łatwowierni Arabowie, nie wiedzieli, że jest to sztuczka naukowa. Uznali to za cud i w zaślepieniu swem hołd Czesławowi, jako cudotwórcy, złożyli.

Wyprostował się on, i dał znak, że mówić chce. Uciszyli się wszyscy, a wtedy rzekł gromkim głosem:

— Widzicie, że gdybym zechciał, wszyscy, jak jeden, padlibyście martwi... Lecz ja was kocham... Nie pragnę waszej zagłady. Wracajcie do siedzib swoich, wracajcie w pokoju. Oddajcie się tam pracy i nie czyńcie krzywdy innym. A w razie, gdybyście rady lub pomocy potrzebowali, zwracajcie się o nie do mnie, a uzyskacie je z pewnością.

Arabowie jednak nie ustępowali. Otaczali go zwarłem kołem, patrząc się z czcią i uwielbieniem, wreszcie jeden z nich mówić zaczął:

— Panie... tyś Mahdim naszym... Rozkazom twoim i władzy twej chcemy być posłuszni... Myśmy niewolnicy twoi... Prowadź nas... na bój na walkę...



Ogarnięci lękiem zabobonnym padli przed nim
na kolana...

A słowa te jego pochwycili inni, i już głośno wołać poczęli, powtarzając końcowe słowa:

— Prowadź nas!., prowadź nas!..

Na twarzy Czesława odbiło się zakłopotanie. Co z tym fantem robić? Namyslał się przez chwilę, wreszcie postanowienie błysnęło w oczach jego.

— Dobrze, przyjmuję wasz wybór... Zostaję waszym Mahdim. Lecz nie czas teraz na krwawe boje, nie czas na wałki i zwycięstwa. Wracajcie do siedzib swoich i czekajcie na znak odemnie. Zjawię się u was, gdy właściwa pora nadejdzie. Tak rozkazuję wam ja, Mahdi wasz.

Ostatnie słowa wymówił głośno i z mocą.

Odniosły one skutek. Arabowie pochylili się w ukłonie i jednocześnie odrzekli:

-- Posłuszni ci będziemy, panie...

Wrócili wnet do obozu, i nie upłynęły nawet trzy godziny czasu, gdy przez pustynię sunąć poczęły w powrotnej drodze do siedzib swoich tłumy obałamuczonych Arabów.

A odchodząc w drogę powrotną, z zabobonną trwogą oglądali się na widniejące w oddali domy Elektropolisu, tego miasta cudów, w którym przemieszkiwał ich nowy Mahdi.

Pod wieczór już opustoszało zupełnie obozowisko arabskie, i w oddali tylko widniały sznury ciągnących z powrotem karawan.

Na piasku pustyni, na miejscu obozu, znaleźli mieszkańcy Elektropolisu dwa trupy;

Mahdiego, oraz tego Europejczyka w arabskim przebraniu, który kierował wszystkimi czynami jego.

To obałamucony lud arabski wywarł w ten sposób na nieb zemstę swoją.

ZAKOŃCZENIE.

Po cofnięciu się Arabów spokój powrócił do Elektropolisu.

Mieszkańcy grodu tego odetchnęli z ulgą, gdy wiszące nad głowami ich niebezpieczeństwo znikło bez śladu.

Lecz spokój ten i radość zakłócone było żałobą.

W czasie walki legło paru z obrońców, a w jasnej, widnej komnacie swojej konał, rażony kulą, pan Erazm.

Nic pomóc mu nie mogła sztuka lekarska, życie powoli uchodziło z ciała.

Umierał przytomnie, jasnym, pogodnym wzrokiem spoglądając na wszystkich obecnych.

Wciąż się tylko dopytywał o wieści. Pragnął być szczegółowo informowany o przebiegu wszystkiego, pragnął wiedzieć wszystko, co dzieje się na zewnątrz.

Coraz też przybiegał do niego goniec z wiadomością o przebiegu rokowań z Arabami. Coraz otrzymywał raporty telefoniczne o stanie sprawy.

Uśmiech pogodny okolił usta jego, gdy dowiedział się, że plan Czesława, co do którego tenże wtajemniczył go w przeddzień wieczorem, udał się w zupełności.

— Zuch chłopak, — szepnął z zadowoleniem.

Przywitał go też uśmiechem radości, gdy po dokonaniu swego wszedł do jego komnaty.

Z zajęciem wysłuchał relacji o przebiegu całego zajścia.

Słońce zachodziło już, purpurą ostatnich promieni swoich zalewając wszystko w komnacie, gdy pan Erazm poczuł, że ostatnia zbliża się godzina.

Skinieniem ręki dał znak, że chce, by uniesiono go na łożu, i głosem słabym, przerywanym, mówić zaczął do stojących tuż przy nim Kazimierza i Czesława Haliczów:

– Idźcie dalej wytkniętą przez siebie drogą... naprzód, przed siebie, do jasnego, promiennego celu... Pracujcie dla dobra ludzkości... Pomnijcie o niej... Siejcie dobro na wszystkie strony... Pomnijcie, żeście Polakami, uczcie drugich, jak żyć należy, by imię Polski wszędzie czczone i szanowane było...

Tu głos jego zadrżał, zachwiał się i załamał. Z ust jego wyszły pojedyncze, oderwane słowa:

– Praca... Bogactwo... Lud... Bóg... Ojczyzna... – a wreszcie z ostatnim słowem:

– Polska!.. – dusza uleciała z piersi jego.

W skupieniu, z bolesnym ścisnieniem serca, słuchali wszyscy obecni tych bezładnych na pozór słów jego, które jednak były dla nich testamentem świętym.

Na drugi dzień zrana, na cmentarzu, przyległym do kościółka, spoczyły zwłoki pierwszych obrońców Elektropolisu... zwłoki tych, co krwią swą i życiem pierwszy założyli fundament pod dalszy rozwój jego i potęgę.

Powoli też powracał ład i spokój do miasta. Zakwitwały kolonie wokoło, powstawały nowe.

Z Europy przybywali liczni koloniści, a i miejscowi Arabowie, chcąc być bliżej swego Mahdiego, osiadali wokoło, powoli imając się pracy przy roli.

Elektropolis rósł, rozwijał się, potężniał, zapowiadając ludzkości nową erę.

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁÓW

- I. Towarzystwo Kolonizacji Sahary**
- II. Tułacze.....**
- III. W Algierze.....**
- IV. Zagadkowa karawana.....**
- V. Rozbicie pociągu.....**
- VI. Oaza Simreh.....**
- VII. Sami w oazie.....**
- VIII. Ocaleni.....**
- IX. Elektropolis ,.....**
- X. Miasto cudów.....**
- XI. Niezwykłe propozycje**
- XII. Wojna święta.....**
- XII. W obliczu wroga.....**
- XIV. W niewoli.....,**
- XV. Cudotwórca.....**
- Zakończenie.....**